

Rok 1. Nr. 9—10.

Hasło dnia dzisiejszego!

Boże Narodzenie — Święta radości!

Czy trzeba wspominać o obowiązku niesienia jej tam, gdzie jej niema? Być może, że nie. Dobrze raczej będzie zastanowić się nad formą, w jakiej ma być zadanie to dokonane. Dobrze będzie przypomnieć o coraz to bardziej uświadamianej sobie przez społeczeństwo konieczności zerwania z doraźnem, chwilowem, przypadkowem zaspakajaniem potrzeb ludzkiej nędzy — i organizowania pracy filantropijnej po jasnem zdaniu sobie sprawy z terenu działania, jego potrzeb, środków, któremi się posługuje i celów, do których się dąży.

Obdarzenie tysiąca dzieci torebkami cukierków dużo im może sprawić radości, ale każdy zrozumie, że na tem nie można poprzestać, że tam, gdzie istnieją braki, czy to materjalne, czy moralne, trzeba iść z jasno wytkniętym celem radykalnego usunięcia ich, choćby to miało ograniczyć teren naszego działania, by w ten sposób skupić większy zasób środków.

Młodzież, która organizuje już teraz „prace społeczne", względnie pomaga przy ich urządzeniu, niech o tem pamięta.

Jak również i o tem, że zaspakajanie potrzeb nędzy ludzkiej, nie może mieć upokarzającego charakteru jałmużny.

Święta Bożego Narodzenia wymagają przytem wszystkiem umilenia ich tym, którym tego potrzeba. Cel ten może pochłonie nieraz dużo środków materjalnych — zdawałoby się bezużytecznie — przecież jednak, jeśli chodzi zwłaszcza o dziatwę — wart jest zachodu i podjęcia. Wart — dla samej radości tych dzieci — o ile jednak nie będzie to jałmużna, o ile nie będzie okruszyną z litości udzieloną przez bogacza.

Odczute dobrze przykazanie miłości bliźniego wskaże chętnym drogę i dobrą formę uradowania smutnych w dzień Świąt „pokoju".

Czy wiecie?

ZE ŚWIATA.

— Na posiedzeniu Rady Ligi Narodów Minister Zaleski wygłosił przemówienie, w ostry sposób przeciwstawiające się działalności Volksbundu na G. Śląsku i licznym skargom, przez Niemców wysyłanym do L. Narodów, niejednokrotnie w sprawach błahych. Min. Zaleski przedstawił rozwój G. Śląska pod rządami polskiemi i wykazał nierównomierność traktowania mniejszości narodowych w Polsce, gdzie do szkół niemieckich uczęszcza około 20.000 dzieci i w Niemczech, gdzie w szkołach polskich uczy się 500 dzieci.

Mowa ta wyprowadziła Niemców z równowagi.

— W kołach Ligi Narodów nikłe wyniki konferencji lit.-polskiej w Królewcu wywołały wielkie niezadowolenie. Rada L. N. rozpoczęła 10 grudnia. Na porządku dziennym były z polskich spraw — sprawa polsko-lit. i zażalenie niemieckie ze Śląska.

— Na prezydenta Łotwy usiłowano dokonać zamachu przez rozkręcenie szyn kolejowych.

— W Argentynie szalała trąba powietrzna, której ofiarą padło 50 zabitych i 150 rannych.

— Do Warszawy przybył transport 3000 kg. złota angielskiego, zakupionego dla Banku Polskiego.

— W południowej Afryce dało się odczuć silne trzęsienie ziemi.

— Delegat Francji przy L. N. Paul Boncoure zrezygnował ze swego stanowiska.

— W Austrji prezydentem został Dr. Miklas ze stronnictwa Chrz. Demokracji.

— Rokowania ang.-polskie w sprawie rozgraniczenia rynków zbytu węgla angielskiego i polskiego w państwach sukcesyjnych i w Skandynawji rozbiły się.

— Nad całą Europą przeszedł gwałtowny huragan, który wyrządził wielkie spustoszenie w Danji, Anglji i Czechosłowacji.

— Na Białorusi wybuchło powstanie chłopskie przeciw Sowietom. Powstanie stłumiono. Również wykryto wielki spisek na życie Stalina.

— Na Węgrzech koło miejscowości Jager dało się odczuć trzęsienie ziemi.

— W Rumunji zniesiono stan oblężenia.

— Lotnik szwajcarski kpt. Barsch ustanowił nowy rekord światowy wysokości lotu osiągając 11.000 metrów.

— Przewodnictwo w Komitecie morskim przy L. N. w Genewie powierzono oficerowi mar. polsk. wojennej por. Sokolskiemu.

— Na życie prezydenta Stanów Zj. wykonać miano zamach w Buenos Aires. Spisek na czas wykryto.

— Działalność wulkanu Etny ustała. Wyrządzone straty obliczane są na 160 miljonów lirów. 700 budynków i 1200 ha uprawnej ziemi uległo zniszczeniu. 5000 ludzi pozostało bez dachu.

— Między Boliwją a Parugwajem wybuchła wojna na podstawie sporu granicznego. Akcję pośredniczącą między 2-ma państwami podjęła Liga Narodów oraz Papież.

— 1 grudnia otwarte zostanie w Dreźnie muzeum im. Karola May'a, słynnego powieściopisarza. Znajdą się w tem muzeum „egzotyczne" zbiory broni Indjan, skalpów, skór dzikich zwierząt i t. p.

— W Stanach Zjednoczonych wylała rzeka Mississippi i zalała 17 miast — wyrządzając 10 miljonów dolarów strat.

Z POLSKI.

— W Sejmie polskim rozpoczęły się obrady nad rewizją Konstytucji.

— Dom rodzinny Chopina w Żelazowej Woli przeszedł na własność społeczeństwa polskiego.

— Polski okręt węglowy Robur II rozbił się na wybrzeżu sęwedzkim w pobliżu Skelleftea.

— Pa Prezydent Rzpltej poddał się w Krakowie operacji miażdżenia kamieni w pęcherzu. Stan zdrowia Jego zupełnie zadawalający. Operacji dokonał Doc. U. J. Dr. Tad. Pisarski.

— Rząd rumuński w wyborach powszechnych zwyciężył. Stosunek przedstaw. w reprezentacji narodu rządowej do innej jest 330:50. Jak wiadomo ster rządów dzierży przedstawiciel partji nar.-chłop. Dr. Maniu.

— Decyzja Rady Ligi Narodów w sprawie sporu polsko-litewskiego zapadła. W celu umożliwienia komunikacji między Polską a Litwą, oraz między Polską, Litwą i państwami trzeciemi, zostanie podjęta interwencja przez komisję tranzytową Ligi, która ma zbadać obecny stan rzeczy i złożyć raport.

— W Medjolanie trwają gorączkowe przygotowania do lotu przez Atlantyk, który mają odbyć 2 piloci kap. Adam Kowalczyk i Włodzimierz Klisz. Kpt. Kowalczyk odbywa wojskowy kurs nawigacyjny w Cassarto we Włoszech. W połowie stycznia aparat zostanie przetransportowany na lotnisko Baldonell w Irlandji. Nazywa się aparat „Polonia".

— Dawniej stolica Śląska polskiego nazywała się Kotowice, a nie Katowice.

— W ostatnim swoim raporcie P. Dewey stwierdził pomyślny stan naszego bilansu płatniczego.

— W Krakowie położono kamień węgielny pod budowę katolickiego Domu Akademickiego.

— W Wielkich Piekarach, gdzie Sobieski obozował, idąc na odsiecz Wiednia, rozpoczęto 11 listopada sypanie pamiątkowego kopca.

— Komitet obchodu „Książka w odrodzonej Polsce" przyznał nagrody trzem najwybitniejszym krytykom literackim: Wacławowi Borowemu, K. Irzykowskiemu i T. Boy-Żeleńskiemu.

— W Warszawie bawiło dwóch wybitnych dygnitarzy Ligi Narodów: sekretarz generalny Eric Drummond i dyrektor sekcji politycznej Jotaro Sugimura.

— Polskiej wyprawie kawaleryjskiej nie udało się zdobyć po raz trzeci „Puharu Narodów" podczas zawodów w Nowym Jorku. Puhar zdobyli Niemcy.

— Pan Prezydent objął protektorat nad międzynarodowemi zawodami narciarskiemi w Zakopanem i obiecał zaszczycić je swoją obecnością. 2 grudnia na Zamku urządzono przyjęcie dla świata sportowego dla podkreślenia wartości sportu i wychowania fizycznego.

Numer podwójny — cena 1 zł. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Rok 1. Katowice, 25 grudnia 1928. Nr. 9—10.

Kultura miasta i kultura ludowa.

W epoce radja, aeroplanu, auta rakietowego skróciły się znacznie odległości, dzielące kontynenty, kraje, narody. Przenika nas coraz więcej zrozumienie łączności ogólnoludzkiej. Zdajemy sobie sprawę z konieczności zbliżenia się narodów. Idea Ligi Narodów z trudem wielkim jest realizowaną, ale tkwi ona w świadomości ludów, oddzielonych od siebie przepaściami najrozmaitszych spraw, stanowiących niejednokrotnie dla nich najważniejsze zagadnienia bytu, wobec których bledną wielkie, ale jakże dalekie idee powszechnego braterstwa.

Jakakolwiek jednak jest rzeczywistość i realne położenie danego narodu wśród innych, jakiekolwiek jest jego ustosunkowanie się do zagadnień polityki ogólno-światowej, wygrywającej niejednokrotnie interesy słabszych na rzecz mocniejszych, to niemniej kulturalne zbliżenie narodów jest dziś daleko większe, niż lat temu kilka i ono też wyprzedza zbliżenie polityczne.

My, Polacy z dumą podkreślamy naszą łączność duchową z Zachodem Europy, z jego kulturą. Szereg cały przyczyn złożył się na naszą wspólnotę z naszymi bliższymi i dalszymi sąsiadami z zachodu. Chodzi tylko o to, byśmy w wspólnotę tę wnieśli jak najwięcej pierwiastków naszej twórczości, jak największe bogactwo naszych zdobyczy własnych.

I właśnie dziś w okresie Świąt Bożego Narodzenia — Świąt pokoju wszystkim ludziom dobrej woli — warto zastanowić się nad ustosunkowaniem się nas samych do tego wszystkiego, co wyrasta u nas dzięki naszej łączności z zachodem i do tego wszystkiego, co powstało, istnieje, rozwija się na naszym rodzimym gruncie, co sięga swą genezą niepamiętnych czasów, a w czem się przejawia twórczość całych pokoleń, które przechowały w tradycji szereg form kulturalnych, przekazały je nam, jako drogą spuściznę po tych, którzy już odeszli, a którzy też w swoim zakresie byli zdolni do wytworzenia nowych wartości.



Zima.

Żyjemy wszyscy w mieście i na wsi — pod wpływem ogólno-światowej kultury, przenikającej coraz bardziej całe społeczeństwo. Cechą jej bezwzględna niwelacja wszelkich różnic. We wszystkich miastach na całym świecie interesuje się człowiek temi samemi przejawami życia: filmem z jego produkcją ostatnich dni i jego mniej lub więcej wartemi tego zainteresowania gwiazdami, śpiewa te same pieśni, tańczy te same tańce, ubiera się tak samo, myśli temi samemi kategorjami, wygłasza te same »poglądy« — najczęściej dlatego, że są modne, jak modne są kapelusze, suknie, »chusty apaszowskie«, krawaty, sporty i rekordy. Jednem słowem stajemy się »konsumentami« kultury. Nie wytwarzamy jej — naśladujemy drugich, usuwamy wszelkie przejawy naszej własnej twórczości, naszej własnej indywidualności.

Dopóki jeszcze wieś odgradzała się i odosobniała od miasta, tam przetrwało to wszystko, co wytworzyły pokolenia, na naszej ziemi przed nami bytujące. Tam

zbiorowość wiejska do skarbów odziedziczonych dodawała rok rocznie to, co była zdolna sama stworzyć. Swoista ta kultura, sięgająca niepamiętnych, zamierzchłych czasów plemiennych przejawiała się zarówno w materjalnej, jak moralnej treści życia jednostek i całych zbiorowości. Architektura, zdobnictwo, strój, opowieść, legenda, bajka, zwyczaj świąteczny, sposób pracy na roli, ceremonjał, z jakim ten, czy inny przejaw życia święcono, przekonania moralne — to wszystko stanowi właśnie treść tej rodzimej kultury, opartej na zbliżeniu do przyrody, życie wsi tak wybitnie cechującem.

Treść tych zdobyczy stanowi dla narodu podwójną wartość: może się nią chlubić, że ją wytworzył i może w zbiorowisku innych narodów mieć coś, co jest tylko jego własnością i co go z pośród tych narodów wyodrębnia, a zarazem poszczególne jednostki łączy.

Wzmacniając zaś wśród szerokich warstw poczucie wartości tej rodzimej kultury „ludowej", zarazem możemy wzbudzić w nich świadomość i wolę dalszej pracy, dalszego wzbogacania nowym dorobkiem tego wszystkiego, co przekazała nam tradycja.

W ludzie tkwią olbrzymie zdolności twórcze. Kultura miasta zabija je. Możemy wstrzymać zarówno zagładę samych wartości, dotychczas wytworzonych, jak pobudzić twórczość jednostek i całych zbiorowości.

Z okresem Świąt Bożego Narodzenia najwięcej związanych jest zwyczajów ludowych, najwięcej przejawów tej właśnie kultury ludowej. Dlatego dziś warto się nad temi zagadnieniami zastanowić.

M...ski.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

Laureat państwowej nagrody literackiej za rok 1928.

Dobrze się stało, że w roku jubileuszowym, gdy żywo jeszcze bije serce w odświętnym nastroju dziesięciolecia wolności, nagrodę państwową otrzymał pisarz, którego twórczość jest jakby „arką przymierza między staremi a nowemi laty", literat, co stanął na pograniczu dwu epok życia narodu i artyzmem wielkiego talentu spoił dwa okresy literatury polskiej.

Urodzony w Rzeszowie 24 lutego 1885 roku, wychowany częściowo w Krakowie i Lwowie, poświęcił się studjom muzycznym, poczem wyjechał do Brukseli, gdzie zetknął się z przebywającą na studjach młodzieżą z Królestwa i przejął się jej ideałami, wyrosłemi na ruinach romantycznego zapału rewolucji 1905/6 roku. Olśniło go bogactwo życia, w którem dokonywała się gruntowna rewizja haseł, zainteresowały prądy myśli zachodnio europejskiej. — Bandrowski poddał się bogactwu obserwacji, chwycił za pióro, by przeorać zaległe ugory literatury. W roku 1911 powstaje Niezguła, następnie Zawody a wreszcie Proch w r. 1913, który zadecydował o jego stanowisku w literaturze.

Poprostu była ta powieść dokumentem stanu duszy młodego pokolenia w przededniu wielkiej wojny... była „taśmą kinematografu, na którą nawijały się obrazy, utrwalające każde niemal drgnienie tej duszy w jej najcharakterystyczniejszych momentach". Była samem życiem, przewalającem się brawurą młodzieńczej pewności autora przez ramy powieści, w kalejdoskopie sytuacyj i typów rzuconych na ekran obserwacji.

Ze znajomości duszy polskiej, bystrej obserwacji powstała ta powieść bujnego talentu, który w służbie legjonowej zmężniał i w nowe wzbogacił się wartości. Pomijając jego legjonowe impresje, opowiadania i nowele wojenne, pisane w rozgwarze walki, na marginesie życia — na progu świątyni wolności, wspomnieć trzeba o Generale Barczu, który był próbą ujęcia artystycznego tych wszystkich czynników zakulisowych, które działały w pierwszych dniach niepodległości. W dziesięć lat po Prochu był to ogromny skok młodego, a już świetnie zapowiadającego się talentu.

Zaledwie życie polskie weszło w szranki nowej rzeczywistości i ścichły echa wojenne, Kaden ruszył szukać własnej drogi, której pierwszy ślad mamy w Wakacjach moich dzieci. Niby to szare opisuje życie i proste przypomina sprawy, wpatrzony w grające morze, ale czuje się, że żywiej jakoś bije serce i z myślą w pokorze się brata. A była to przecie maleńka próba, bo Kaden ruszył dalej — na podbój własnej, dziecięcej przeszłości.

Poczuł się silnym, by spojrzeć w własne „szczęście". Słowem, w dwu książkach p. t. Miasto mojej matki i W cieniu zapomnianej olszyny dał cykl wspomnień z okresu bujnej młodości, rzucił słoneczny reflektor w krainę marzeń, wzlotów i myśli młodzieńczych. Te drobne pozornie zdarzenia i rzeczy, opromienione serdecznym uśmiechem, „wprowadzają nas w ten świat, w którym rozwijała się i kształtowała dusza przyszłego pisarza. Poznajemy z drobiazgową dokładnością — jak zauważa Dębicki — środowisko, w którem wzrastał, wpływy, którym ulegał, dowiadujemy się, ile i komu zawdzięcza, co wziął w spadku po ojcu, a co po matce..."

„Jako dorosły mężczyzna w pracy, — pisze Kaden-Bandrowski — w pokoju, na wojnie przekonałem się, że wszystko, com dobrego zrobił, w tych właśnie cnotach matczynych miało początek. Jej uśmiechy dawniej niezauważone, jej łzy tylekroć przez nas, dzieci, wzgardzone, jej myśli wielkie i skromne, tyle razy przez nas, młodych chłopaków, wyśmiane, one to właśnie były nademną..." i one złożyły się na Miasto mojej matki „z wdzięków i dobroci wzniesione".

Przechadzając się śmiało po ulicach swej młodości, pomimo, że wskazał nam tajemniczego przyjaciela i skarbonkę, groblę i szkołę, pomimo to zauważył, że „prawdy też do dna wypowiedzieć się nie da", że „rzeczy tu zaczęte nie są skończone, że trzeba w obranym kierunku iść dalej i rzeczywiście napisać drugą książkę..."' Napisał przeto drugi cykl: W cieniu zapomnianej olszyny, który przyniósł mu nagrodę państwową i szczere uznanie krytyki. Te proste opowiadania liryka-estety podbiły serca czytelników, ukazały bogactwo skali uczuciowej Kadena.

Pokazał nam ten rozległy świat podświadomej walki z życiem — to dążenie do własnej osobowości. Pokazał trud serca i pracy po to, „by nie być tylko cieniem, by nie być czemś mniejszem, gdy można być czemś większem". Sam wyznaje: „napisałem te oba tomy, aby nie być tym kimś, który biegał, ruszał się, ubierał, i był tylko sobą, tak zawsze, tak dalece sobą, tak nigdy niczem więcej, że oprócz tego właśnie niema o nim nic, nic, zupełnie nic do napisania!"

Zaprzeczył temu Kaden! Poruszył najgłębsze pokłady serca i duszy, wydobył skarby prostej i szczerej, artyzmem prawdy tchnącej opowieści o tajemnicy kształtowania się psychiki chłopięcej. Trafnie powiedział Z. Dębicki w swoich Portretach, że „po przeczytaniu tych książek zaczynamy dopiero naprawdę rozumieć, czem ta dusza żyje i karmi się w godzinach cichych rozmyślań i rozmów z sobą, co w niej jest wkładem światła zewnętrznego i doświadczeń życiowych, a co stanowi jej rdzeń uczuciowy, co jest w niej wiecznem dzieckiem, a co dojrzałym człowiekiem".

Osiągnąwszy w tych zbiorach wysoce artystyczną prostotę, dał w nich Kaden utwory świetnie sharmonizowane, prawdziwie dojrzałe owoce pracowitej, pełnej poczucia odpowiedzialności i umiaru pracy.

A gdy wrócił „z dalekiej wyprawy" i spojrzał w szeroki świat, na kartach nowego cyklu utrwalił jakby symfonję wrażeń nowej, rzeczywistej podróży (Europa zbiera siano), by w Lenorze spojrzeć w oczy współczesnej rzeczywistości polskiej.

J. Korpala.

JAN PIOTR GROSSE.

Boże Narodzenie w Anglji — a u nas.

Wspólne wszystkim ludom chrześcijańskim jest pojmowanie Bożego Narodzenia jako święta radosnego. Nasi pogańscy praojcowie obchodzili po najdłuższej nocy w roku święto zwycięstwa słońca nad ciemnością; na tem podłożu wyrosło potem święto Narodzenia Pańskiego — zajaśnienie światłości niebiańskiej nad mrokiem świata. Ale odrębność dawnych kultur wpłynęła na odmienne oblicze tego święta u różnych narodów a zwłaszcza w Anglji, gdzie zachowały się niektóre dawne zwyczaje celtycko-germańskie, wygląda ono inaczej aniżeli u nas, gdzie pierwiastki łacińskie przyjęły słowiańską formę.

Ośrodkiem Bożego Narodzenia w Anglji jest obiad spożywany w świąteczną niedzielę. (Wigilja nie jest w Anglji znaną i tylko w katolickich kościołach odprawia się pasterkę.) Stół przystraja się ostrokrzewem a na powale



Ze zbiorów Inst. geogr. w Krakowie.

Krajobraz angielski.
Południowe Downs koło Brighton, Dewils Dyke.

wiesza się krzak jemioły. Zwyczaj ten sięga zamierzchłych czasów, kiedy jemiołę uważano za świętą a kapłani druidzcy ścinali ją złotym sierpem, zbierając do białych płaszczy. Krzew jemioły, zakwitający w zimie symbolizuje bowiem swemi rozwidlonemi gałązkami siłę zwycięskich promieni słonecznych, które biorą górę nad mocami ciemności. I dziś zapełnione są targi londyńskie jemiołami, przywożonemi w wielkiej ilości z sadów w Herefordshire. Anglicy przyozdabiają niemi mieszkanie — a młodzieniec, który zastanie dziewczynę stojącą pod takim krzaczkiem ma prawo pocałowania jej.

Głównem daniem obiadu świątecznego jest indyk, który oczywiście nie ma tak starej tradycji jak jemioła — wiadomo bowiem, że pierwsze indyki przywieziono do Europy z Ameryki w XVI wieku. Na zakończenie podaje się budyń świąteczny („Christmas Pudding"), który wnosi się do pokoju zapalony. Składa się on przedewszystkiem z rodzynków, a aby płonął polewa się go rumem. Niekiedy wkłada się do niego pieniążek, obrączkę i naparstek — wróżby bogactwa, rychłego ślubu wzgl. staropanieństwa dla tych, którzy je znajdą na swym talerzu.

Po obiedzie siada rodzina przy kominku, który jest „duszą" każdego angielskiego domu (i polskiego także — dziś już niestety tylko po dworach). Zajada się rozmaite łakocie, łowi się suszone winogrona z płonącej rumem tacy, śpiewa się kolędy („Christmas Carols"). W niektórych domach przyjęły się drzewka — w innych bronią się przed niemi jako przed obcym zwyczajem.

— — — — — — — — — — — — — — —

I do nas przywędrowały do niektórych domów angielskie jemioły. Anglja nam imponuje — niewątpliwie. A przecież jeżeli idzie o zwyczaje, to jedyną rzeczą, jaką nam ten naród zaimponować powinien, jest poszanowanie własnego obyczaju — niedbanie o to, jak jest za granicą.

Chciałbym abyśmy my, młodzi, stali się obrońcami rodzimego zwyczaju. Nie idzie o to, aby wygrzebywać z zaprószonych ksiąg rzeczy, których nikt nie pamięta i odtwarzać coś, co może kiedyś było, ale do naszych dni nie doszło. To byłoby nienaturalne. Ale idzie o zachowanie tego ,co jeszcze jest, lub co było za czasów naszych dziadów i babek, a co dziś już ginie.

Oto: Łamanie się opłatkiem. Siano pod obrusem. Świat z opłatków zawieszony u sufitu. A jeżeli kto mieszka na wsi, to koniecznie snopy zboża ustawione w kątach izby!

Niewiele zaiste — a jakże dużo! — Łamanie się opłatkiem, przy którym idą na zawsze w zapomnienie urazy, a wszyscy czują się braćmi (wspólne dzielenie się opłatkiem ze służbą!) — to nasz najpiękniejszy zwyczaj świąteczny i ten — na szczęście! — ostał się powszechnie. Ale czy we wszystkich naszych rodzinach znajdzie się siano pod obrusem — przypomnienie Jezusowego narodzenia w żłóbku — o tem wątpię. A świat, zwisający z sufitu lub choiny — czy wielu z nas wie, co to jest „świat?" A przecież jeszcze za czasów ojców i matek naszych rodziców był polskim symbolem Bożego Narodzenia! Ta ziemska kula, zrobiona z białych lub kolorowych (w ziemi krakowskiej z niebieskich, czerwonych, zielonych i białych) opłatków[1]) wielkości jabłka lub nawet główki dziecięcej, która zwiastuje nam narodzenie się Zbawiciela świata — jest godną, aby w świątecznym czasie zawisła nad naszym pokojem.

Zapytacie: a choinka? Z Niemiec przyszedł ten zwyczaj, to prawda, ale przyjął się ogólnie i stał się nam drogi. Nie jest on zresztą tak bardzo niemiecki, bo dawni germanie przynieśli go z starego Rzymu, gdzie oliwką i wawrzynem strojono halę domu podczas noworocznej uczty. Sam zaś stół obładowany łakociami, owa „tabula fortunae", to poprzednik słodyczy, zawieszanych dzisiaj na drzewku. — Dbajmy tylko, by choinkę zdobiły nasze rodzime łańcuchy, pawie oka, światy, pająki i podłaźniczki.



Ze zbiorów Inst. geogr. w Krakowie.

Walia: Przełęcz i wąwóz Llanberis.

Snopy zboża ustawiane w kątach izby zarówno po dworach szlacheckich jak i chatach wiejskich nie miałyby w mieście sensu — na wsi natomast, niechże nam dalej przypominają, że jak ziarno rodzi kłosy, tak i przyjście Chrystusa na świat powinno wydać owoc — w naszych sercach.

[1]) O tem jak zrobić „świat" pisze Marja Person-Dąbrowska w Choince polskiej, wydawn. M. Arcta.



ŚWIĘTA MIŁOŚCI.

Od najwcześniejszego dzieciństwa zapewne obija wam się o uszy zdanie, że Święta Bożego Narodzenia, to święta miłości i pokoju, święta radosne dla wszystkich małych, biednych i opuszczonych, święta głoszące zwycięstwo wiary i miłości nad pychą i próżnością tego świata. I sami czujecie, że bliskie specjalnie są one waszemu sercu, że cieszą i wzruszają jak żadne inne.

Lecz czy zastanowiliście się kiedyś głębiej nad istotną treścią tego zdania, czy postaraliście się przeżyć je i odczuć w was samych? Widzimy wokół siebie jak w języku ludzkich czynów przejawia się zrozumienie tej wielkiej prawdy. Widzimy, że w sposób uświęcony już wiekową tradycją, a jednak nowy corocznie w swej radości, święta te zbliżają i łączą dalekich, jednają poważnionych i w każdem sercu budzą chęć uczuć i czynów, radość i dobroć niosących.

Rodzina i przyjaciele obdarowują się wzajemnie, a dary te jako wyraz uczuć i pamięci cieszą i wzruszają choćby były najskromniejsze.

Ludzie obcy, bezdomni, mijani zazwyczaj obojętnie w pogoni za chlebem powszednim, w wieczór wigilijny gośćmi się stają miłymi i bliskimi. Nawet zwierzęta, jak głosi legenda, w noc tę cudowną obdarzone zostają ludzkim głosem, by mogły radość swą wypowiedzieć i chwalić Pana. Zło co odwieczną walkę toczy z dobrem, bezsilne jakby przycicha na tę noc jedną. Bo oto Wieczna Miłość w ludzką przyobleczona postać zstąpiła wśród najnędzniejszych, by najgłębszą, najdawniejszą tęsknotą ludzkości ukoić.

Lecz czemuż to tylko w tę jedną noc święci miłość swe zwycięstwo, czemuż niewielu tylko zrozumiało i pojęło ją do głębi, a garstka tylko potrafiła w życie swe wpleść jej odblask. Przecież dwa tysiące lat blisko, minęło już od nocy tej świętej i tajemniczej i dawno dzwony obwieściły światu tryumf zmartwychwstania ponad ból i nędzę śmierci. I od dwuch tysięcy lat raz tylko w roku świat chrześcijański śle z serca swego uczucia najlepsze swym bliźnim i zamilknąć karze głosowi zła. A w dniu codziennym, w gonitwie i trosce o jutro, jakżeż niewielu pamięta o tem, by czynnie swą wiarę w zwycięstwo Wiecznej Miłości wyznawać. Nietylko nie pamięta, ale nie umie i nie uważa za potrzebne. Widocznie w dzieciństwie swem gdy ścieżka życia późniejszego się znaczy, nie przeżyli nigdy prawdziwie głęboko i radośnie Świąt Bożego Narodzenia. Widocznie nie nauczono ich patrzeć na treść pod formą się kryjącą. Toteż zmaga się świat w cierpieniach okropnych, zmaga się w społecznościach miljonowych i w duszach jednostek, co napróżno swej ścieżki prostej szukają. A obok tych cierpiących i walczących inni przechodzą obojętni lub z uśmiechem zdawkowym na ustach, i często nawet krzyk rozpaczy nie może ich wyrwać z tej obojętności.

A przecież to od nas samych zależy, którą drogę obierzemy w życiu — my sami tylko dobrą wolą sprawić możemy, że oczy nasze i serca nie pozostaną obojętne na nędzę i potrzebę tę, którą zobaczyć można i taką, którą odczuć trzeba. Od nas samych zależy, czy w życie pójdziemy ze zdawkowym uśmiechem na ustach i pustką w sercu, czy też weźmiemy w siebie całą potęgę miłości, która idzie ku nam od Stajenki Betlejemskiej i miłość tę w pracach życia naszego wcielać będziemy.

To nie tak trudno — spróbujcie! Radosny, jasny nastrój Świąt Bożego Narodzenia przenieście w Wasze życie codzienne. Niech odblask Miłości Wiecznej na Wasze padłszy uczynki codziennie obchodzi swe święto. Trochę czasem o sobie trzeba zapomnieć — o chętkach i ambicjach osobistych, o małostkach, od których nie jest wolny żaden żyjący — lecz to nie trudno, gdy w sercu radośnie, a ofiara raz poniesiona zachęci i sił doda do nowej. W imię rzeczy wielkich nauczymy się zapominać o drobnostkach i spojrzymy w świat wzrokiem pozbawionym osobistej niechęci czy korzyści. Musimy dopomóc światu, by miłość i dobro wszystkich stało się udziałem. Dołóżmy sił naszej młodości, by każdy dzień powszedni zamienił się w święto miłości. Spróbujmy zacząć od siebie.

J. M. A.

Przed Wigilją.

Dźwięk sygnaturek srebrzysty
Płynie nad śniegiem puszystym,
Jak tuman mgieł.
W niebie anieli w locie
Zastygli w niemej tęsknocie —
Lśni skrzydeł biel.
Za chwilę...
W ostatnim blasku łun,
W promieniach gwiezdnych strun
Na ziemię zejdzie — Jezusek.
Z pod drobnych bożych stópek
Śnieg pieszczotliwie zachrzęści,
Rozbłysną gwiazdy tęczą,
Niebiosa się rozdźwięczą
I śpiewać będą szczęście.

Kazimierz Liwocz.

PRZED-PASTERKĄ



— ...Ty bo zawdy gapa do niczego! Nigdy nie zadzwonisz w czas!... — dogadywał ze złością Michałko Wawrzonów.

— Zabaczyłem... — tłómaczył się Jaśko.

— Pomnij se, by to był ostatni raz, bo cię spierzewa, że ha!...

— Nie zabaczę.

Jasiek Zmuda, wysoki siedemnastolatek, górował nad współtowarzyszami i zapowiedź malców, że go spiorą, mogła wydawać się śmieszną każdemu, kto nie znał jego łagodnej potulności. W rzeczywistości nie było w tem nic dziwnego. — „Niezguła ani do czego", — „Wielki jak bojar, a głupi jak baran", — taka była jednomyślna opinja o nim całego Zalesia. Teraz kroczył uroczyście z gromadką chłopaków od chaty do chaty, przedstawiali bowiem „Herodów". Pośpieszyli się i wyszli zaraz po pośniku czyli wilji, by zebrać plon sławy i podarków, zanim przyjdą „Herody" z Szerokiej Woli, sławne gębacze, które zwykle całą okolicę obchodziły, nie dopuszczając ze sobą rywalizacji. Pierwszy to raz Zalesińscy zebrali się przedstawiać sami. Udało się im nad podziw. Szerokie, złotym papierem oklejone pasy Heroda, feldmarszałka i trzech przybocznych rycerzy, lśniły czarodziejsko, połyskiwały drewniane srebrzone pałasze, korona niegodziwego króla sterczała groźnie w górę ostremi zębami. Z pod wywróconego włosem na wierzch kożucha okrywającego djabła, zwieszał się długi i prawdziwy krowi ogon. Wysmolony na gębie sadzami, z rogami z tektury, szatan ten szczękał łańcuchem i szturchał przechodzących widłami. W długiej po pięty koszuli i masce z białego papieru, towarzyszka jego, śmierć, kłatała zgryźliwie kosą, a zagadnięta piszczała cienkim, przenikliwym głosem. Rycerze huczeli basem, Jaśka Niezgułę zabrali ze sobą, bo pięknie śpiewał, nosił przytem za niemi rozpiętą na dwu drągach płachtę, stanowiącą kulisy. Ukryty za nią w czasie przedstawienia, ciągnął wysoko, a tak żałośnie, że gospodynie wzdychały:

— „Oj biada, biada, mnie Herodowi,
— Utrapionemu wielce królowi...",

lub też hucznie i buńczucznie, że aż szyby drżały w oknach:

— „Dziś dzień Heroda, dziś dzień bogaczu,
— Dziś dzień wesela, ale nie płaczu..."

Dzwonił także zawzięcie, niby na pożar, gdy na scenę wkroczyć miał anioł z głośnym pochrzęstem bibułkowej szaty, wieszczącym, że to anioł jest nie byle jaki. Z tem dzwonieniem jednak była bieda, bo zawsze się spóźniał, za co mu towarzysze obiecali lanie.

Zdążyli już odejść zamożniejsze chaty, a sakwy potrząsającego olbrzymią brodą konopiastą dziada pełne były smakołyków, gdy Herod-Michałko rzucił myśl doniosłą:

— Jakbyśwa teraz zaszli do Białkowa?

— A zdążywa wrócić doma przed Pasterką?

— O reta! dyć w trzy pacierze tam i nazad wrócim!

— To ci Woleńskie się zdziwią!

Ruszyli szparko przez wieś skupioną, cichą, ale pełną ruchu. Jasne kwadraty oświetlonych okien kładły się ciepło na zoranym kolejami śniegu drogi. Wokoło każdej chaty snuli się zwolna, obrzędowo ludzie, sprawiający misterja Godowe. Gospodarze okręcali drzewiny w sadach powrósłem ze słomy i siana, czasu pośniku pod stołem leżącego splecionem, a potem przyłożywszy siekierę do drzewa pytali groźnie, zali będzie rodzić? Podejrzliwe staruchy wyzierały przez okna, czy sąsiadka nie podrzuca śmieci na podwórko, by pchły i inne robactwo do nich od siebie na cały rok wywieść. Dziewczęta z łyżką nieobtartą w ręku, stawały przy płocie nadsłuchując skąd pies naprzód zaszczeka, co nieodmiennie wróżyło z tamtej strony swaty. Gospodynie poiły krowy i inną żywinę wodą, w której rozkruszony był święty opłatek. Parobczaki wiązali bąki czyli trzaskawki do batów, opatrując wozy, bo wiadomo, na pasterkę trza jechać co siły w koniach, a szczęśliwy, któren pierwszy stanie przed kościołem. Dzieciaki pełne trwogi lecz ciekawe, wsuwały się cichaczem do obór podsłuchać jak bydło mówi ludzkim głosem. Wesoła Maryśka od Kurków przechwalała się przed rówieśnicami gałęzią wiśni, która w wilję św. Andrzeja zerwana i do butelki z wodą na piecu wsadzona, rozkwitła cudnie dziś właśnie. Dziewuchy z zazdrością oglądały wiotki kwiat, drżący na zimnie jak płateczki śniegu i patrzyły na nią, jakby na już zaręczoną. Starzy gospodarze powróciwszy z sadów, ciskali w izbach owies z miodem do pułapu, z ilości przylepiających się do belek ziarn wróżąc latosi urodzaj chleba. Ponad wszystkiemi zaś temi zabiegami leżała w górze ciemno-modra noc, cicha, uroczysta, wielka, wyzłocona ćwiekami tysiącznemi gwiazd, pełna czekania i świętości Godów. — Noc usprawiedliwiająca wszystkie czary i zaklęcia ku pozy-

skaniu błogosławieństwa Bożego wiodące, skoro w tęsamą Noc właśnie przed wiekami jawił się ciałem żywem Cud najczarowniejszy, ziściła najdziwniejsza wielka Tajemnica...

Chłopcy szli szybko przez niewielki las, śpiewając dla rozgrzewki i skrócenia czasu:

— Leży, leży Jezus malusieńki,
W szopce zimno, a On nagusieńki...
Przyszła Panna, siankiem Go okryła,
Taka pościel Jezusowa była...

— A tobie co? — spytał nagle ze zdumieniem Antek, oglądając się na Jaśka.

— Czego buczysz, ty przygłupku?

— Z mrozu chyba?

— Strasznie mi Dzieciątka szkoda — wyszeptał Jasiek, ocierając łzy rękawem.

— Bez co?! — aż stanęli ze zdziwienia.

— Na zimnie... psiaka byś nie wygnał, a Dzieciąteczko leżało...

— Et, dyć se teraz króluje w niebie Panjezus, nic bieda Mu...

— Ale co się wpierw nacierpiało niebożątko..... reta!...

— Sam tak chciał...

— Właśnie bez to mi szkoda, że sam chciał... — tłómaczył Jasiek, ale nie zwracali na jego gadanie uwagi. Gdy ruszali, Michałko-Herod ogarnął wzrokiem mazgaja i naraz skrzywił się niechętnie.

— Oberwanyś jak dziad... — zauważył.

— Ano, — przyznał Jasiek, spoglądając na siebie z zakłopotaniem.

— Wstyd w obcej wsi się pokazać... Białkowskie pomyślą, że w Zalesiu wszystkie takie...

— To ostanę — zaproponował Jasiek — jeno kto płachtę poniesie?

— Antek niech dźwiga.



— To już lepiej niech on idzie — buntował się Antek. Przedstawiał żyda i plątał się w długim chałacie. Pejsy z pakułów zwieszały się śmiesznie pobok zatroskanej twarzy. — Niech idzie, za płachtą go przecie nie widno...

— Cichoj! na drodze go za płachtą nie skryjesz...

— Nie poradzicie śpiewać sami...

— Ojej! poredzimy! Wróć sie Jaśku, wróć...

Zawrócił, bynajmniej nie urażony. Oberwany był, bo był, — co tu gadać. Łokcie wyłaziły mu na wierzch wśród frędzlistych dziur, — kolana dawno wypchnęły się na świat Boży. Skądby mogło być inaczej? Służył za sam wikt i przyodziewek. Dwa lata temu gospodarz dali mu ten lejbik galancie go przedtem znosiwszy. Od ciężkich naręczy drzewa, od pracy ciągłej nieoszczędnej, samodział rozlazł się na nic. Sam gospodarz uznał, że przyodziewek parobka jest już trochę kiepski i obiecywał, że na przyszły rok zbierze się może na nowy. Szedł więc lasem, śpiewając zrazu, lecz milczenie wkoło było tak wielkie, las tak uroczysty, że umilkł, bo raził go własny głos. W niezmiernej ciszy słychać było tylko czasem, jak czapa śniegu sunie się z gałęzi, zapadając miękko w śnieg. — Idącemu przyszło na myśl, że przecież nie warto wracać do Zalesia, skoro i tak trza niedługo iść do Woli na Pasterkę. Stąd do Woli znacznie bliżej. Pójdzie nie śpieszący się i w zaciszu gdzie pod płotem zaczeka, aż na mszę zadzwonią.

Nie minęło parę pacierzy, gdy wyszedłszy z lasu zobaczył rozsiane światełka wsi Szeroka Wola. Kościół czerniał na wzgórzu, zamknięty jeszcze i nieoświecony. Czasu było dość, Przysiadł więc na rozkładających się nisko po śniegu gałęziach młodego świerku, wtulił w gościnną głąb drzewa, osłonił grzbiet od wiatru pniem i siedział spokojnie, chuchając tylko raz wraz w ręce, bo mróz brał siarczysty. Siedząc, nucił sobie cichutko kolędę i spozierał co chwila na kościół. Aż raz tak spojrzawszy, drgnął nagle i przetarł uważnie oczy. Wydało mu się, że przed drzwiami coś połyska. Przetarł ponownie i wstał, wytężając wzrok. Na tle zamkniętych wrót kościelnych drgało światło jasne, ciepłe, tak dziwnie ku sobie przyzywające, że Jasiek ani się namyślając, począł iść ku niemu. Ono zaś rosło w miarę jak szedł, rozszerzało w kształcie kręgu, aż objęło całą framugę wejściową. Gdy zbliżał się powoli, niby urzeczony, nie wiedzący sam co czyni, zdało mu się, że rozróżnia w tym jasnym okręgu promienniejsze od światła postacie. Jak człowiek śpiący, który w śnie przyjmuje każdy dziw, jakoby rzecz zrozumiałą, — Jasiek nie zdziwił się ani nie zdumiał, rozpoznawszy Najświętszą Panienkę i stojącego obok św. Józefa. Oni to byli bez najmniejszego wątpienia, w dostojnej słodyczy swej glorji. Oboje chylili święte głowy nad czemś, co tuż przy ziemi jaśniało jak słońce. Przejęty szczęściem tem samem, które przenikało serca betlejemskich pastuszków, zbliżał się Jasiek na klęczkach, orząc gołemi kolanami w śniegu, który wydał mu się miękki i ciepły jak puch. Podpełznął blisko i zamarł w zachwycie: Bez żłóbka, lecz wprost na kamiennym progu leżało Boże Dzieciątko! Nie miało nawet słomy podesłanej, ledwo zawinięte w potarganą zgrzebną szmatę. Dokoła główki drżała obręczka

świetlista. Oczęta były stulone, cyt, cyt... zasnęło Boże Dzieciąteczko...

Świat zniknął z przed oczu zachwyconego, uniesionego w niebiosa chłopaka. Klęczał bez słowa wpatrzony Ani zauważył kiedy światło się zaćmiło, rozwiały mgłą jasną postacie. Ale Dzieciątko uśpione zostało. — Spojrzy Jasiek, a Ono drży z zimna przez sen. Sinieje liczko maluchne od chłodu. Składają się już do płaczu w żałosną podkówkę usteczka. Trzęsą się maleńkie piąstki zaciśnięte tuż przy twarzy. — Patrzy się Jasiek i serce skowyczy w nim z żalu. Płacze dusza nad niedolą Boga. — A toć u mnie za pazuchą byłoby mu cieplej,... myśli. Wyciąga ręce, ale nie śmie tknąć. Dyć że to sam Panjezus! Modli się z płaczem: darujże mnie niegodnemu, Paniczu niebieski, że Cię za moją dziurawą kapocinę poważam się wrazić.. Jużci nie z pychy to czynię, jeno, że mróz bierze... Nie karz mnie Panie za śmiałość... Ujmuje ciałko maleńkie ostrożnie, lekko, układa na swej piersi pod zgrzebną koszulą. Okrywa z wierzchu kapotą, osłania rękami. Przenika go jasność, szczęście, nieznane, skrzydlate... Uleci chyba z swym skarbem do nieba...

Sam nie wiedział, wiele czasu stał tak, niepomny na jakim jest świecie — gdy tuż za nim rozległy się kroki. Ksiądz starowina szedł sprawdzić, czy Jasełka ustawione są w kościele, jak się patrzy. Zawrócił od drzwi zakrystji, ujrzawszy stojącego przed głównem wejściem chłopaka i podszedł ku niemu niespokojny, zali jakiego figla nie zamyśla.

— Co tam masz? — zagadnął. — Groch może chcecie z chóru na ludzi sypać, gałgany? Jasiek obrócił ku niemu twarz jasną jak zorza.

— Cicho.. Panjezus... — wyszeptał. — Dziecko!? zdumiał się staruszek, zajrzawszy mu za kapotę — skądeś je wziął? Czyje to?!

— Pan Jezus... powtórzył chłopiec, uśmiechając się anielsko.

Ksiądz spojrzał na niego badawczo.

— Chodź — rzekł krótko, wiodąc na plebanję. Weszli do jasnej, ciepłej kuchni. Skądżeś je wziął? — powtórzył.

— Na progu... To Pan Jezus jest! dodał z przerażeniem, bo gospodyni krzyknąwszy: laboka! dziecko! — odebrała mu bez ceremonji maleństwo, które uderzyło w płacz.

— Cichoj, cichoj!... dam ci mleczka — kołysała je.

— Na progu naszłeś?

— Na progu... Pod lasem siedzący patrzę, a tu światło błyska przy kościele... Podejdę... O-reta!... W jasności Matuchna Boża i Józef stary; ono Dzieciątko podle jak w szopie, jeno żywe. Ale kiej jasność zniknęła, za pazuchem je wziął, bo marzło... powiadał półgłosem, napoły przytomny.



— Jakisik papier! meldowała gospodyni, wyciągając z płachty kawałeczek szarego papieru. Niezdarnem, krzywem pismem napisane było na nim:

„Trzy miesiące ma... krzczone jest, Oleś mu na imię..."

— Podrzuciła jakaś nieszczęsna z nędzy pewno, licząc na to, że ludzie na Pasterkę idący znajdą... myślał głośno proboszcz.

— Pewnikiem, Józefowa, co to jej chłopa przejechało — ciągiem gadała, że dziecko ciśnie i we świat pójdzie na służbę.

Może... Ha, cóż, Pan Bóg w taki wieczór je zesłał, trza będzie po chrześcijańsku wychować...

— Już się mleko grzeje...

Skulony w kącie płakał Jasiek, nic z tego nie rozumiejąc. Józefowej dziecko? — Toć widział Pannę Najświętszą.. Łzy gorzkie kapały mu na spracowane ręce, gdy proboszcz wyciągnął go z kąta i do swego pokoju zaprowadził.

— Czego płaczesz?

Umiałby to powiedzieć czego płacze? Płakał za cudem rozwianym. Za szczęściem, które mu się snać jeno przyśniło. Lecz staruszek objął go ramieniem, jak synaczka.

Z pod lasu jasność ujrzałeś? dopytywał.

— Ano, z pod lasu... wyjąkał przez łzy.

— I widziałeś Panienkę Najświętszą?

— Jako jegomości widzę.. grzmotnął się w piersi z rozpaczą.

— Nie śniło ci się?

— Jakże! ani mnie drzymota nie wzbierała.. zrazum szedł, a pod górkę, tom już na kolanach lazł, stąpnąć nie śmiejąc... Na śniegu ślad musi być...

Ksiądz zamyślił się głęboko.

— Tedy ci powiem chłopcze, żeś łaski wielkiej dostąpił... Sprawiedliwieś Pana Jezusa oglądał.. Bacz! Poniechała Józkowa czy inna dziecko na mrozie i byłoby zmarzło na szczęt, nimby się na nabożeństwo ludzie poschodzili... Pan Jezus się ulitował.. Sam, tem dzieckiem, niby szczenię na progu rzuconemi stał się, jak przed wiekami... jużci tak było nie inak... Jasnością wezwał cię z lasu... Potem se odszedł do nieba, ujrzawszy, że sierota bezpieczna..

— Uczciwe masz widno serce, żeś tego zaszczytu dostąpił... Mój Boże! niejeden cały wiek się stara, modli — a takiej łaski nie ogląda... O parę kroków tu siedzę, a nie widziałem... ha, Pan Jezus wie lepiej, kogo wybrać... Szczęśliwyś chłopcze... szczęśliwy...

Spojrzał na Jaśka, który płakał znów, ale z radości.

— Czas już dzwonić - rzekł wstając — dziękuj Bogu, miłuj Go... A ludziom lepiej nie gadaj, dodał na oodchodnem.

— A dyć — przyznał z przekonaniem Jasiek i uśmiechnął się sam do siebie — ludziom gadać po co? tylkoby się naśmiewali...

Więc złożył głęboko w ubogiem sercu swoje wielkie szczęście, jako skarb mający rozpromienić i ozłocić długie, szare, żmudne życie i nikt w całem Zalesiu nie domyślał się nigdy, że Jasiek sierota oberwaniec, niezguła — Pana-Jezusa raz w Gody, jak św. Antoni w obrazie piastował.

Zofja Kossak-Szczucka.



(Dokończenie)

To zadanie uważał on za łatwiejsze od pierwszego. Od malca uczył się tropić zwierza i wyczuwać go wzrokiem, słuchem, węchem nawet. O godzinę drogi od domu ojca znajdowała się w samem sercu puszczy jaskinia, zamieszkała przez rosłego, pięknego lamparta. Wąskim szlakiem leśnym utorowanym przez setki myśliwców posuwał się Kar-then jak cień bezszelestnie, aż dojrzał ciemny otwór w skale, przez który z trudnością zwierz się wsuwał do swej jamy. Zwinnie i cicho zabrał się Kar-then do robienia pułapki. Wybrał silne, a giętkie drzewko rosnące po lewej stronie otworu jaskini i wspiąwszy się na sam szczyt uwiązał długą pętlę z surowej skóry. Zsunąwszy się na ziemię schwycił zwisający koniec rzemienia, przeszedł za jaskinię i z całych sił opierając się o pień dębu, za skałą rosnącego, nachylił drzewo, tak, że umocowane silnie zagradzało wejście do jamy lamparciej.

Wtedy przerzucił drugą pętlę przez pień drzewa u wejścia do groty, opuścił ją i lekko przytrzymał gałązkami. Wreszcie rozsypał świeże liście przed grotą zakrywając swoje ślady i pokropił je płynnem sadłem zwierzęcem dla przygłuszenia ludzkiego zapachu. Wkońcu wsunął się w krzaki przy jamie i spokojnie zaczął oczekiwać nadejścia ciemności, gdy zwierzę wyjdzie z jaskikni na nocny żer.

Długie to były czaty, gdyż pułapka skończona była już o południu, ale Kar-then przyzwyczajony był do wytrwałej czujności i leżał ukryty, nieruchomo, patrząc na powoli gasnące plamy świetlne wśród drzew. Stopniowo podszycie dżungli ściemniało, wreszcie i czuby drzew zmierzchły. Nastała noc.

Kar-then uważniej jeszcze wpatrzył się w ciemny otwór jaskini wyraźnie widoczny w zimnem księżycowem świetle. W napięciu czekał z gotowym do cięcia nożem i nagle... otwór jamy nie był już czarny. Bystry słuch Kar-thena nie pochwycił ani jednego dźwięku, ale zobaczył — przyzwyczajonym do ciemności wzrokiem — ciemno płową, wielką głowę, wypełniającą otwór. Zwolna, cal za calem wysuwała się ona, zwracając ostrożnie w prawo i w lewo — chłopak z zapartym tchem czekał...

Wkońcu widząc, że cały łeb już się wysunął z jaskini — jednem uderzeniem noża przeciął chłopak rzemień przytrzymujący czub drzewa i w tejże chwili jak sprężyna odskoczył prostujący się pień i lampart uwieszony za łeb zawisł w powietrzu, wyrwany prawie z jamy — prychając, gryząc warcząc wściekle.

Chłopak wyczekał chwili, gdy zwierzę na pół zduszone przestało się dziko rzucać i podbiegając, szybko związał mu silnie łapy grubym rzemieniem, rodzaj kagańca zarzucił na pysk i wtedy dopiero przeciął uwiązany na drzewie pas rzemienny, chwytając za jego koniec i zwalniając pętli. Ubezwładniwszy lamparta zbudował coś jakby sanie lub raczej nosze, wytoczył na nie jeńca i zwrócił się z tym oryginalnym ładunkiem w drogę ku domowi.

Zwierzę rosłe było i ciężkie, niełatwo więc można je było uciągnąć. Ale nie to było największą trudnością i niebezpieczeństwem. Wokoło Kar-thena przesuwały się cicho jakieś mniejsze i większe cienie zwierząt żerujących, zaniepokojonych dziwnym szmerem sunących po ziemi noszy lub pociąganych wonią lamparta. Kilkakrotnie też, ale na szczęście w oddali posłyszał chłopak wstrząsający ziemię ryk strasznego lwa, przezwanego Trwogą Sunącą w Nocy — a raz długie, przeciągłe wycie gromady wilczej podnieciło jeńca Kar-thena. Próbował wyzwolić się z więzów, ale rzemienie dobrze trzymały, więc w dalszym ciągu musiał leżeć w bezsilnym bezwładzie, świecąc zielonemi ognikami oczu w ciemności. Późną nocą, a raczej wczesnym brzaskiem, dowlókł się Kar-then do jaskini ojca i upewniwszy się raz jeszcze co do wytrzymałości więzów, zasnął kamiennym snem wyczerpania.

Nazajutrz oddawszy swą zdobycz w ręce Czarodzieja, który nie omieszkał wyrazić swego podziwu, ruszył na



poszukiwanie Sar-no-m'raia, który miał mu dać wskazówki i pokazać sposoby schwytania Zwierza o Jednym Rogu na Nosie. Ale niestety! Człowieka Mądrego ani śladu. Wielki Wódz wysłał go z posłannictwem jakiemś i nikt nawet nie mógł określić bliżej, jak długo tam pozostanie: może przez dziesięć zmian słońca i księżyca, a może i dłużej. Prawda, przecież terminu żadnego Kar-then nie miał — ale aż kipiał z niecierpliwości, czując tę jedyną przeszkodę na drodze do celu. Postanowił więc wykorzystać nieobecność doradcy na wykopanie dołu i przygotowanie zasadzki.

Poszukiwany przez Kar-thena nosorożec zamieszkiwał obszerne tundry, oddzielone od lasów dżungli szeroko rozlanemi wodami rzek, na północ od siedzib szczepu Ta-an.

Kar-then wybierając się w daleką — bo przynajmniej 6—7 dni trwającą podróż — zabrał zapasy wędzonego mięsiwa, pożywnych korzeni i woreczek suszonych jagód. W pełnem uzbrojeniu ruszył w drogę.

Nie nudziło mu się w drodze — nietylko dlatego, że wszystko go zajmowało, co tylko zmysły jego wyśledzić zdołały — ale przedewszystkiem dlatego, że układał sobie plany zwabienia nosorożca w zasadzkę i pozostawienia go w niej bezpiecznie aż do powrotu Mądrego Człowieka. Lwy i lamparty rzadko zapuszczały się w tundrę i niechętnie stawały przeciw tak groźnemu wrogowi. Z lekkiem więc sercem szedł Kar-then elastycznym równym krokiem, marząc o przyszłej swej chwale wojennej i myśliwskiej.

Po całym dniu marszu przenocował chłopak na oryginalnem posłaniu uplecionem w gałęziach dębu starego, byłoby bowiem czystem samobójstwem nocować na ziemi. O świcie wyruszył w dalszą drogę. Niezmordowanie krocząc dalej i dalej, odsunął się już na odległość dwudniowego marszu od siedzib swego szczepu. Tego wieczora odczuł już większe zmęczenie i właśnie miał zamiar przygotować sobie nocleg, gdy niedaleko dojrzał małe, żółte światełko, pochodzące chyba z ogniska.

Zapomniawszy o zmęczeniu, czujny, a ostrożny podpełzał zwolna w stronę światełka, śledząc uważnie wokoło: Tak było to ognisko obozowe, a wokoło niego siedziało około stu najzajadlejszych nieprzyjaciół szczepu Ta-an, tak zwanych Małych Włochatych Mężów, poprzednich mieszkańców dżungli, wypartych przez lud Ta-an, z którym ustawiczne toczyli walki.

Przez chwilę patrzył Kar-then w niemem przerażeniu na przysadkowate, owłosione postacie, o potężnych barach, kanciastych głowach, kształtem i wyglądem przypominających małpy. Jak we śnie widział ich ohydne twarze w świetle obozowego ogniska.

Bliżej — jeszcze bliżej przysunął się bez szmeru, choć zdawał sobie sprawę, czem to pachnie. Mali Mężowie znani byli z okrutnych tortur zadawanych jeńcom i Kar-then wiedział, że jeden nieostrożny ruch, a dostanie się w ręce, gotowe rozszarpać, żywcem piec, obedrzeć ze skóry i wystawić na długą mękę przedśmiertną. Ale musiał dowiedzieć się, o co im w danej chwili chodziło, jaki spisek knują przeciw jego ludowi. Nigdy jeszcze nie zbliżyli się tak bardzo do siedzib szczepu Ta-an, więc chyba planują atak podstępny.

Przyczołgał się tak blisko, że dosłyszeć mógł już nietylko wrzask wściekłości wojowników, ale i przemowę gardłową widocznie jakiegoś wodza, od czasu do czasu ku osłupieniu Kar-thena, wymawiającego imię Ta-nu-ka. Widocznie Czarodziej był w zmowie z wrogiem plemieniem, gotującem się wyraźnie do napadu na spokojny, nieprzygotowany szczep Ta-an.

Kar-then dość już wiedział: wycofał się ostrożnie aż do brzegu polany, ku gęstemu podszyciu lasu dziewiczego, gdy nagle ciężkie jakieś ciało zwaliło się na niego, a długie, owłosione, muskularne ramiona oplotły ciasnym uściskiem ciało Kar-thena. Ani słowo nie padło przytem tylko głuchy warkot strażnika Mężów Włochatych i szybki oddech zaskoczonego Kar-thena przerywał ich zapasy. Mróz przeszedł chłopaka na myśl o torturze czekającej go, o nieoczekiwanym napadzie na jego szczep! Musi się wyzwolić!

Przekręciwszy się całem ciałem, wpił swe młode ostre zęby w plecy napastnika — ten zwolnił więź rąk na chwilę. Skorzystał z tej sekundy Kar-then — błyskawicznie wyrwał swój nóż i zagłębił go dwukrotnie w piersi wartownika. Strącając martwe ciało, porwał się chyżo na nogi, gdyż już od ogniska zaczęły wstawać postacie wojowników zaniepokojonych cichą, ale nie bezszelestną walką.

Kar-then puścił się pędem. Nie było ani chwili do stracenia: za sobą słyszał okrzyki dzikiej złości, rozkazy. Zrzucił wszystką broń — z wyjątkiem noża — by mu nie ciężyła w biegu.

Umiał on dobrze biegać — jak wogóle wszyscy członkowie szczepu Ta-an o wydłużonych, gibkich ciałach — i czuł, że wyprzedzi Małych Mężów. Wiedział



jednak, że ani na chwilę nie wolno mu zatrzymać się, gdyż nieprzyjaciele, uważając się za odkrytych, przyśpieszą napad na swych przeciwników.

Biegł więc przez noc całą, przebijając się przez gęste podszycie, padając w ciemności na powalone pnie i podnosząc się, korzystając z polan leśnych, by pokierować się wedle gwiazd. Pościg za nim zatrzymał się i umilkł, ale Kar-Then biegł dalej, biegł bez końca... Nogi mu mdlały z wysiłku — głowa była jak w ogniu — dusił się z braku tchu, więc przystawał i szedł wolnym, miarowym krokiem, by znów za chwilę podjąć bieg.

Nieprzytomny prawie spuścił się ze wzgórza w dolinę Wielkiej Rzeki. Ostatnim wysiłkiem dobiegł do jaskini Wielkiego Wodza, wybełkotał wiadomość zdobytą i padł bez zmysłów u stóp Tsen-va-mena. Pan Uskrzydlonej Śmierci nachylił się nad chłopcem i zauważył bladość młodzieńca, zapadłe oczy i zaschłą krew na brodzie od zagryzania warg dla podniety do dalszego biegu.

„Zanieście Kar-Thena do jaskini jego ojca“ — zwrócił się do wojowników, którzy przybiegli na jego wołanie — „Wy zaś — dodał — odwracając się do wodzów poszczególnych rodów nadbiegłych również — zbierajcie wszystkie

Klany. Niech będą gotowi do boju za jednem skinieniem dłoni!"

Gdy lud włochaty małych Mężów tłumnie spuszczać się jął ku dolinie szczepu Ta-an, — zastał wszystkich w nieustępliwem pogotowiu. Walka była długa i zawzięta, gdyż napastnicy nie dali za wygraną: zaledwie czwarta ich część uszła do lasów, reszta zaścielała trupami polanę, stanowiąc łatwy żer hjen i szakali, których wycie przez wiele nocy rozlegało się wokoło doliny.

Kar-Then udziału w walce zwycięskiej nie brał. Leżał w gorączce i skrajnem wyczerpaniu na świeżem posłaniu z liści przyrządzonem przez zaniepokojonego ojca.

W kilka dni dopiero — osłabiony Kar-Then udał się do jaskini Wodza na jego wezwanie. Tam to opowiedział wszystko, co widział i słyszał. Powtórzył też słowa wrogów o Czarodzieju Ta-nu-ko i rzekł:

„O Wielki Wodzu — nie kto inny, jak Ta-nu-ko właśnie musiał powiadomić nieprzyjaciół o sposobnej chwili napadu na lud nasz, znużony wiosennemi łowami!"

„Nie — potrząsnął głową Pan Uskrzydlonej Śmierci. Nie mamy na to dowodów. Uzbrój się jednak w cierpliwość — Kar-Thenie. Niechybnie Ta-nu-ko sam zdradzi się słowem niebacznem. Czyś już zupełnie wypoczął?"

„O tak, panie — odrzekł Kar-Then — rozkazuj tylko!" Uśmiechnął się na tę gotowość chłopca Wódz i rzekł:

„Jutro przyjdziesz o zachodzie słońca na Skałę Rady!"

Kar-Then skłonił się nisko i wyszedł.

Nazajutrz o zachodzie słońca stał już na Skale Rady przed Tsen-va-menem, Lou, Sar-no-mraiem, Czarodziejem Ta-nu-ko i dwoma innymi czarodziejami. Wokoło Skały zgromadzili się wojownicy.

„Ludu jaskiń górskich — przemówił Wielki Wódz — przed wami stoi Kar-then, syn sławnego Bar-no. Wielki Czarodziej naznaczył go na swą służbę, a gdy Kar-Then prosił o dopuszczenie go do stanu wojowników, naznaczył mu trzy próby, po których dokonaniu życzeniu jego stanie się zadość. Z dwóch prób młodzieniec wyszedł zwycięsko i miał dokonać trzeciego zadania, gdy spotkał nieprzyjaciół i nie szczędząc siebie, ostrzegł nas o ich napadzie. Czyż nie zwrócicie się wraz ze mną z prośbą do Wielkiego Czarodzieja, aby mu darował trzecią próbę. Dołączcie się do moich próśb".

Jednogłośnie zakrzyknęli wojownicy:

„Daruj trzecią próbę, Ta-nu-ko! Wysłuchaj tego, który — choć młody — szczep swój ocalił — i dzielnym wojownikiem się okazał. Wybierz kogo innego do składania ofiar! O Ta-nu-ko!"

Czarodziej stał posępny i złowrogi. Już miał gniewnie odmówić prośbie, gdy Wielki Wódz przystąpił blisko i szepnął:

„Namyśl się, Ta -nu-ko! Imię twe po kilkakroć wymawiał lud Małych Mężów w swych naradach! Namyśl się!"

Ta-nu-ko pobladł, spuścił wzrok z wyrazem bezsilnej złości przed jasnem spojrzeniem Tsen-va-mena i niechętnie rzekł:

„Zgadzam się".

Okrzyk radości wyrwał się z piersi milczącego dotąd Kar-Thena. Pochylił się nisko przed Czarodziejem, przed Wielkim Wodzem i zebranymi wojownikami, którzy wesoło powtarzali: „Za dziesięć dni Kar-Then w poczet nasz przyjętym będzie!"

Dziesiątego dnia klęczał Kar-Then przed wielkim ołtarzem kamiennym i ślubował wierność swym wodzom, a Ta-nu-ko świętym nożem odrąbał mały palec jego lewej ręki na znak przynależności Kar-Thena do tej grupy wojowników, których zadaniem było tropienie, nieprzyjaciół i obrona granic. A gdy po ceremonji młody wojownik zapytał ciekawie Sarno-mraia o sposób wypełnienia trzeciego zadania — odparł tenże ze śmiechem:

„Wszak należysz już do stanu wojowników. Na cóż ci sposoby ujarzmiania Zwierzęcia o Rogu na Nosie? Sam kiedyś odgadniesz tę tajemnicę!"

Czy ją odgadł Kar-Then, młody wojownik szczepu Ta-an? Milczy o tem opowieść.

Spolszczyła *Z. B.*

Rozmaitości.

Najmniejsza książka telefoniczna na świecie.

(W) Nowojorska centrala telefoniczna wydała nową książkę telefoniczną, która może się zmieścić z łatwością w kieszeni kamizelki. Na każdej stronniczce tej książeczki, której grubość nie przekracza 1 centymetra, znajduje się 1200 adresów i numerów. Książeczka tych rozmiarów mogła oczywiście powstać tylko drogą sfotografowania, a nie drukowania. Gołem okiem nie można jej czytać, toteż do każdego egzemplarza dodane jest szkiełko powiększające.

Ze względu na swe małe rozmiary, zdobyła ta książeczka olbrzymie powodzenie wśród abonentów i publiczności.

Najwyższy wodospad.

(W) Najwyższy wodospad na świecie znajduje się w kalifornijskiej dolinie Yosemita, słynnej z malowniczości. Kaskada Cholock rzuca się z prostopadłej 800 metrów wysokiej skały i rozsypuje się w pył, iskrzący się w słońcu barwami tęczy. Jest 16 razy wyższa niż Niagara, ale nie posiada ani jej szerokości, ani ogromu wód. W głębi Wenezueli w górach Imataka, jest wodospad wysoki na 500 metrów.

Wiek zwierząt.

(W) Według uczonego Cuvier'a, wieloryb może osiągnąć tysiąc lat życia. Słoń żyje do 400 lat.

Opowiadają, że Aleksander Wielki po pokonaniu króla Porusa indyjskiego, zażądał od niego dla siebie wspaniałego słonia, który w czasie bitwy walczył odważnie, szerząc jak prawdziwy bohater popłoch w szeregach nieprzyjaciół. Otrzymał ów słoń miano „Ajaksa" i był poświęcony słońcu; żył 390 lat.

Lew żyje 60 lat, koń 25—30 lat. Niedźwiedź brunatny około 20 lat, wilk nie przekracza 15 lat życia, wilczyca 14—16. Także kot osiąga niekiedy 15 lat życia, podczas gdy królik nie żyje dłużej jak 6—7 lat. Psy zależnie od rasy żyją 8—12 lat.

Z pośród ptaków sokoły i kruki cieszą się największą długowiecznością wraz z łabędziem. Mogą żyć dłużej niż 100 lat.

Z gadów żółw i krokodyl mogą spokojnie dopełnić wieku życia.

Windy olbrzymy.

(W) Znane u nas w Europie windy w hotelach lub domach prywatnych, nie dają wyobrażenia o windach, obsługujących olbrzymie kilkunasto lub kilkudziesięcio piętrowe gmachy t. zw. „drapacze chmur" w Nowym Jorku. Windy w takim n. p. „Parc Row Building", mającym 6.000 mieszkańców, to istne tramwaje, poruszane elektrycznością i mogące pomieścić do 20 osób odrazu. Dziesięć wind oprócz schodów w gmachu, w którym znajduje się tysiąc biur, to nie za wiele. Wyruszają one co 18 sekund, interesanci nie tracą więc ani minuty na czekanie. Każda winda odbywa 200 kursów dziennie, co odpowiada 36 kilometrom. W innym gmachu „Broad Exchange Building", w którym znajduje się 1.400 biur i 8.000 mieszkańców, 18 wind zaledwie wystarcza do obsługi.



(Ciąg dalszy)

— Józek więc wiedział, że tamci dwaj odwiozą go samochodem — dokończył zdanie zastępowego Staszek Bury.

Zapadło krótkie milczenie. Chłopcy bezradnie kupili się koło nieznacznego rysunku, nie mogąc powziąć decyzji. Jedni proponowali, by iść dalej za śladami, póki są świeże — ale myśl ta nie bardzo podobała się zastępowemu, nie wzięli bowiem z sobą wyekwipowania wycieczkowego, a tropienie auta mogło ich daleko zaprowadzić. Postanowiono wkońcu, że zastęp wróci do domu po namioty i żywność, a Jacek, który się okazał znakomitym wywiadowcą i Staszek Bury, doskonale znający okolicę, rozpoczną dalsze tropienie, a dla reszty zastępu zostawiać będą znaki skautowe.

Las, otaczający chatę Szczawińskiego od strony pól i gościnńca, nie był wielki, po kwandransie więc drogi obaj chłopcy stanęli na jego granicy, oznaczonej rowami. Drożyna stąd biegła już prosto wśród zbóż do szosy. Staszek, który szedł na przodzie, nie uważał za stosowne wypatrywać znaków, w rzeczywistości natknął się na nie wcześniej, aniżeli się spodziewał, bo przeskakując niedbale rów graniczny, zawadził końcem buta o leżący obok drąg i upadł na ziemię, odzierając skórę z dłoni, ale podnosząc się z ziemi, dostrzegł przypadkiem nowy znak, co pozwoliło mu zapomnieć o bólu.

Znak, końcem buta w pośpiechu nakreślony, wyglądał tak:

X

— Stało ci się co? — zawołał Jacek.

— Tak — to jest nie — odpowiedział Staszek — zajęty badaniem — popatrzno Jacku — wskazał mu na swe odkrycie.

— Zdaje się, że to narysowane butem... Czy to co znaczy?

— To jest znak skautowy. Znaczy „nie idź tą drogą". W każdym razie zbadaj to miejsce dookoła, a ja pójdę naprzód, mimo tego znaku.

Jacek bystro się rozglądnął. Rowy oddzielały las od łanów dojrzewającego pola. Wtem spostrzegł, że zboże w pewnem miejscu na prawo od drożyny było stratowane, jakby przez nie przeszło parę osób. Oglądnąwszy bliżej to miejsce, odkrył wąską, mało używaną ścieżynkę.

— Staszek! — zawołał — przez zboże prowadzi jakaś ścieżynka. Prawdopodobnie ktoś tędy niedawno przechodził.

Staszek biegiem wrócił, nie mogąc sobie darować, że on wskaziwroga, o tej ścieżce zapomniał.

— Ta drożyna prowadzi do starego młyna, bardzo dawno opuszczonego, skąd przez rzekę dostać się można do innego gościńca. Tak! to jest prawdopodobnie droga, którą mamy pójść.

— Hm! dziwię się — zaznaczył. — Trzeba w tem miejscu zostawić znak dla zastępu.

Schylił się i narysował strzałkę, zmierzającą do zapomnianej ścieżki. U grotu strzałki nakreślił czteroramienną gwiazdkę, w środek której wetknął gałązkę.

— Na co to? — zapytał Jacek.

— Strzałka jest powszechnie używanym znakiem harcerskim i może ją ktokolwiek nakreślić. Gwiazdka jest naszym tajnym znakiem, po którym zastęp pozna, że znak pochodzi odemnie.

Więzienie.

W tym czasie, kiedy w chacie Szczawińskiego Jacek tak przekonywująco wykazywał swe zdolności skautowe, Józek, przebudziwszy się z głębokiego snu, spostrzegł, że znajduje się w jakimś nieznanym mu pokoju. Przez kilka sekund leżał bez ruchu, usiłując sobie przypomnieć wydarzenia ubiegłej nocy.

Przypomniał sobie powrót ojca, przyjście obcego pana, znaki, jakie pozostawił po drodze, pewny był bowiem tego, że harcerze będą go szukali. Pamiętał, że, dowiedziawszy się, iż pójdą ku opuszczonemu młynowi, butem narysował znak „nie idź tą drogą..." potem pamięć go opuściła.

Co się stało potem? Gdzie jest? Kto był ten nieznajomy? Usiadł i lekko wykrzyknął, gdyż w głowie zaświtało mu jeszcze jedno wspomnienie, jak nieznajomy, kiedy zbaczali z drogi podał mu jakąś flaszkę:

— Napij się chłopcze — rzekł — wzmocni cię to, a niema w tem alkoholu. Mamy jeszcze spory kawał drogi przed sobą i będziesz potrzebował wszystkich swych sił.

Napróżno wysilał swój mózg, ale nie mógł przypomnieć sobie, co się potem stało.

— Widocznie napój był odurzający — szepnął. — Z pewnością nie chcieli, bym wiedział, dokąd mnie zaprowadzą.

Wyskoczył z łóżka i rozglądnął się po pokoju. Była to jakaś dziwna izba. Okrągła — bez drzwi i bez okien. Umeblowanie całe stanowił stół, na którym stał dzban

wody, trochę chleba i mięsa na talerzu, dalej krzesło, łóżko i prosta umywalnia.

Przez szklanny świetlik w drewnianym stropie można było dojrzeć kawałek modrego nieba. Józek chciał dosięgnąć świetlika, ale nie pomogło mu nawet postawienie krzesła na stole. Świetlik zresztą — wyraźnie widać było — nie otwierał się.

Mechanicznie Józek napił się wody i zjadł potężny kawał chleba z mięsem. Był przecież zdrowym chłopcem i odczuł głód. Pożywienie i napój dodały mu odwagi.

— Jeżeli tu jestem — myślał — musiano mnie tutaj którędyś wprowadzić, a skoro niema drzwi w ścianie, to z pewnością są w podłodze.

Bystrem okiem rozpoczął badanie nierównej podłogi. Po chwili serce zabiło mu żywiej. Pod stołem ujrzał żelazne kółko. Odsunął więc natychmiast stół, a w sekundę później podniósł kwadratową przykrywę i spoglądał w dół, do ciemnego otworu. Odkrycie to jednakże nie tłumaczyło mu, gdzie się znajduje.



Ze zbiorów Inst. Geograf. w Krakowie.

Ze szczytu Pilska.

— Wygląda to, jakby jakaś wieża — myślał — ale ja nic nie wiem o istnieniu takiej wieży w Czerniku.

Nadół prowadziły strome schody. Józek uważnie nadsłuchiwał, nie słysząc jednakże żadnego podejrzanego dźwięku, począł ostrożnie schodzić. Nagle uświadomił sobie, że jest w nawpół zburzonym wiatraku na Wietrznym Kopcu, mniej więcej dwadzieścia pięć klm. od Czernika. Wiatrak ten stał na gruntach hrabiego Drohojowskiego.

— W jakim celu mnie tu przyprowadzono? Kto był ten zły mężczyzna, który namówił jego ojca, by z nim szedł. — Przypomniał sobie jego słowa:

— Ten chłopiec odda nam dobre usługi w pracy, którą mam dla was.

Jaką pracę miał na myśli?

Widocznie coś złego, skoro go potajemnie umieścili w tak odległem miejscu!

Tak myślał Józek, schodząc ostrożnie w ciemności po krętych schodach, aż znalazł się w pokoju, skąd drzwi prowadziły nazewnątrz. Jakże się jednak zawiódł: były zamknięte tak, że o ucieczce mowy być nie mogło.

Uciec stąd, było jego jedynem pragnieniem. Za każdą cenę chciał uniknąć tego niejasnego przedsięwzięcia, w którem wbrew swej woli miał wziąć udział. Przypomniał sobie nagle, że, zstępując po schodach, minął komorę, w której znajdowała się maszyna do mielenia, połączona ze skrzydłami wiatraka. Zapamiętał, że w komorze było trochę światła, widocznie w ścianie znajdował się otwór. Szybko więc wybiegł na górę i zobaczył, że w miejscu, gdzie oś wybiegała nazewnątrz znajdował się mały otwór.

Staszek opowiadał mu raz o człowieku, który uciekł z wiatraka w ten sposób, że wylazł na kręcące się skrzydło, a kiedy zbliżyło się od ziemi, zeskoczył.

Czy tutaj uda się tak samo postąpić? Wiatrak dawno był nieczynny i nie skrzydła, ale ich resztki sterczały nieruchome.

Józek nie wyrzekł się jednak nadziei. Przeciągnął głowę i ramiona przez wąski otwór obok osi i popatrzył w dół. Zwisające skrzydło od ziemi dzieliła przestrzeń jakiś 3—4 metrów, a więc porządny skok wdół.

Nie pomyślał jednak nawet o niebezpieczeństwie. Przez otwór przecisnął się łatwo i po osi przesunął się aż do miejsca, gdzie łączyła się ona ze skrzydłami.

Czy uniosą go teraz drewniane poprzeczki, stawiające niegdyś opór świszczącemu w skrzydłach wiatrowi, a dziś już porządnie spróchniałe?

Pomału spuszczał się nogami wdół, drżąc ze zdenerwowania. Zstępował tak aż do ostatniej poprzeczki. Dotychczas szło wszystko dobrze, lecz gdy popatrzył wdół, spostrzegł, że oddalenie od ziemi było większe, niż przypuszczał. Zawahał się na chwilę, wisząc rękami na poprzeczce, gdy naraz przegniłe drzewo złamało się pod jego ciężarem i runął wdół.

Przez kilka sekund leżał bez ruchu, obawiając się przekonać, czy nie połamał kilku kości. Po chwili usiadł i począł dotykać bardziej obolałych miejsc. Miał szczęście. Oprócz kilku sińców i lekkiego zdarcia skóry nie ucierpiał poważnie.

Był na wolności.

Nagle jednym skokiem znalazł się znów pod młynem i przycisnął się do ściany. Z lasu na równinę, na której stał wiatrak, weszło dwu ludzi. Mimo półkilometrowej niemal odległości poznał ich: był to jego ojciec i nieznajomy pan. Zmierzali widocznie do młyna, by otworzyć jego więzienie. Co robić teraz?

Aby ukryć się w lesie, musiałby biegnąć około 400 m. przez pole. Z pewnością by go zobaczyli! Trzeba pozostać tutaj i poczekać, aż wejdą do młyna i odkryją jego ucieczkę. Pozostanie mu dość czasu do ukrycia się. Oczyma mierzył odległość, którąby musiał przebiegnąć. Trzy minuty zabierze im wejście do izby, która była jego więzieniem — dalsze trzy, nim stwierdzą jego ucieczkę, a minutę lub dwie, nim zejdą na dół. Za ten czas mógłby znaleść schronienie między drzewami.

Mogli go jednak dojrzeć, zanim wejdą do młyna. By tego uniknąć, pełzając, przedostał się na drugą stronę budowli, jakże się jednak zmartwił, kiedy się właśnie znalazł przy samem wejściu do młyna!

Ale teraz nie opuściło go szczęście! Tuż pod ścianą, kilka kroków od drzwi stała stara drewniana kadź, niegdyś przeznaczona na deszczówkę. Skaut momentalnie przekonał się, że jest pusta, wydźwignął się przeto i skoczył do środka.

Kadź była wysoka na półtora metra prawie — mógł więc wygodnie się ukryć. Z niepokojem oczekiwał zbliżających się mężczyzn. Za chwilę doszły go głosy rozmowy i kroków, wkrótce rozumiał już każde słowo. Uśmiech na chwilę zatarł malujące się na jego twarzy wzruszenie, gdy usłyszał słowa swego ojca:

— Dobrze! Teraz już wszystko pojąłem. Istotnie dużo zależy na chłopcu. Zawsze byłem przeciwny, by należał do tych głupich skautów, ale niech mnie djabli porwą, jeśli mnie nie posłucha. Tylko niech go Pan mnie pozostawi.

Potem słyszał jeszcze zgrzyt klucza w zamku i oddalające się kroki obu mężczyzn, którzy weszli do budowli.

Coby biedny chłopiec dał za to, by móc usłyszeć więcej z ich rozmowy. Dowiedział się jednak tego, czego najwięcej się obawiał — „dużo zależy na chłopcu". Jego największe obawy się sprawdzały. Przygotowano jakiś podły czyn, a on, harcerz, członek zastępu „Wyder" miał w nim wziąć wybitny udział. No! jeszcze w garści go nie mają! Potrafi uciec im i dostać się do towarzyszy, a „Wydry" przeszkodzą niegodziwym planom.

Cóż z tego, że będzie walczył przeciw własnemu ojcu, jeśli ten dla zysku gotów dopuścić się łajdactwa. Jego harcerską powinnością jest walczyć ze złem i nie zawieść zaufania, jakie w nim pokładają przyjaciele.

Tymczasem na bok z uwagami! Jeszcze nie wydostał się z pułapki. Najcięższa część próby ma dopiero nadejść!

Przyszła niestety wcześniej niż się spodziewał biedny Józek.

Z wewnątrz wiatraku odezwały się gniewne okrzyki i prędkie kroki, niezawodne oznaki, że jego ucieczka została odkrytą. Słyszał, jak przeglądano każdy kąt rudery, wreszcie przed wiatrakiem rozległ się rozgniewany głos cygana i spokojna odpowiedź nieznajomego:

— Chłopiec jest zatem sprytniejszy, niż domyślaliście się, Szczawiński. Jasnem jest, że się wymknął. Z pewnością uczynił to wcześnie rano. Pytanie, dokąd mógł się udać.

— Dokąd — powtórzył cygan — dokądże indziej, jak nie do domu. Teraz już jest u swych przeklętych harcerzy.

— Tymczasem jego ucieczka zmienia nasz plan. Pieniądze czekają, żeby je podjąć, ale na szczęście ten młodzieniec nie wie o tem. Wątpię, by się okoliczności mogły dla nas pomyślniej ułożyć. Narazie nie da się nic zrobić. Wróćcie zemną, naradzimy się znowu. Jeśli się wasz syn przyłączył do swych towarzyszy, to nie są stąd daleko, a ten długi też jest z nimi.

Prawie w tej chwili, kiedy wypadki dobiegły do tego punktu, los wkroczył znowu w ich przebieg i zmienił zupełnie udział Józka w ich dalszym rozwoju.

Jak mówiliśmy, wiele lat upłynęło od tego czasu, kiedy poruszały się skrzydła wiatraka, a równie długi czas od chwili, kiedy ostatni raz była w kadzi woda. Nie zwrócił na to uwagi Józek, wybierając swą tak wiele obiecującą kryjówkę. Oddawna rdza przeżarła obręcze, słońce i wiatr i niewidzialny ząb czasu sprawiły, że drzewo spróchniało. Gwałtowny skok, jakim Józek dostał się do wnętrza kadzi, był ostatnim, jakie biedne szczątki mogły jeszcze znieść. W momencie, kiedy Szczawiński wraz z nieznajomym zabierał się do odejścia, naraz za plecami ich rozległ się rumor i w środku kupy połamanego drzewa ukazał się nieszczęśliwy Józek.

(C. d. n.)



Lawina pyłowa na Turniach Mięguszowieckich.



O wieczorynkach.

Zima nadeszła — żegnajcie piękne całodzienne wycieczki, żegnajcie długie wędrówki i noce spędzone pod płóciennym dachem namiotu lub pod ciemnym szafirem letniego nieba — świat biały i mroźny na krótkie tylko pozwala wyprawy i to tym szczęśliwcom, którzy mają ubranie odpowiednie i buty mocne, co od zimna i wilgoci ochronią.

Ogół skazany na gnuśne siedzenie w domu na pociechę wspomina lato minione i o przyszłych dniach ciepła i słońca marzy. A tymczasem zima taka długa — od listopadowych deszczów i chłodów aż po zmienny i najczęściej zimny kwiecień czyż samemi tylko mamy żyć westchnieniami? Wszak życie krótkie i szkoda dni co mijają w oczekiwaniu czynów przyszłych, zamiast same nowemi się znaczyć czynami. Trzeba więc umieć stwarzać i umilać swe życie, robić to co w danych warunkach jest najodpowiedniejszem.

Chcę wam w tem dzisiaj dopomóc — chcę powiedzieć o miłej formie spędzenia czasu dla drużyny harcerskiej, czy innej grupy młodzieży.

Wiem, że są niestety drużyny, które na zimę „zamierają". Póki jeszcze ciepło, póki dzień długi, a zbiórki mogą odbywać się na świeżem powietrzu — w drużynie praca idzie jako tako. Lecz niechno powieje wiatr chłodniejszy i wczesny mrok zapadnie — już żwawa gromadka rozbita, już zamilkły przejawy jej zbiorowego życia. Różne bywają tego przyczyny — najczęstsza, najpoważniejsza, to brak izby, brak lokalu, gdzie mogłaby się zejść drużyna czy zastęp — są też i inne, jak odległe zamieszkanie poszczególnych harcerzy, jak brak ciepłego ubrania i t. p. Są to powody ważne — niekiedy nie do zwalczenia.

Lecz cóż powiecie o takiej drużynie, która zasypia snem zimowym, bo w zimie „niema co robić?" — A i takie zdarzają się przecież!

Ja myślę, że drużyna, która w zimie nie potrafi zdobyć się na żadne wspólne działanie i w lecie niewiele dokona. Zima to taki miły i piękny czas do pogadanek, do nauki i czytania, do zebrań o specjalnym charakterze, do w i e c z o r y n e k!

Cóż to za wieczorynki spytacie — znamy wieczornice urządzane przez drużynę, lecz czem są wieczorynki?

Otóż wieczornice urządza się zwykle dla gości, czy to jako zabawę czy jako przedstawienie, w czasie którego drużyna pokazuje, co umie. Wieczorynka, to uroczystość wewnętrzna drużyny, to coś zrobionego dla niej samej. To nie zwykła zbiórka, którą przygotował drużynowy, to wspólny wysiłek wszystkich celem miłego i pożytecznego spędzenia czasu, celem zbliżenia się wzajemnego drużyny.

Wieczorynka powinna odbywać się w niedzielne popołudnie, gdy wszyscy mają dużo wolnego czasu i mogą parę godzin spędzić wspólnie z innemi. Powinna też być wynikiem współdziałania całej drużyny, a nietylko poszczególnych jednostek. A więc do urozmaicenia jej programu przyczyni się każdy zastęp i każdy harcerz w zastępie pomyśli czemby uświetnić tę uroczystość drużyny. Może też przygotowaniem wieczorynki zająć się jeden zastęp i zaprosić całą drużynę i tak kolejno.

Może wieczorynka mieć program dowolny przygotowany przez zastępy, może też być poświęcona specjalnie jakiemuś tematowi poddanemu przez drużynowego lub drużynę. Najważniejsza by była, by skupiała i cieszyła.

Tematów nigdy nie braknie — w listopadzie można urządzić wieczorynkę ku uczczeniu powstania listopadowego, w grudniu Święta Bożego Narodzenia, aż się proszą o serdeczną wewnętrzną uroczystość drużyny, to znów w styczniu inna rocznica przypomina boje, którym dzisiejszą Niepodległość zawdzięczamy — wreszcie można wybrać tematy z pośród zainteresowań młodzieży i urządzić wieczorynkę poświęconą specjalnie bajkom, poezji, górom lub morzu — wszystkiemu wreszcie, co bliskie polskiemu sercu.

Jeśli nawet drużyna niema własnej izby — przy dobrych chęciach zawsze można postarać się o jakiś kąt na niedzielne popołudnie, gdzie możnaby swobodnie pogwarzyć i pośpiewać. Może to być klasa w szkole, czasem nawet i pokój w prywatnem mieszkaniu któregoś z harcerzy.

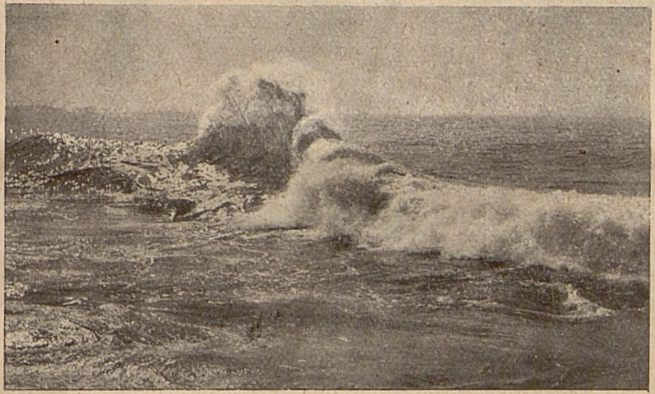
Schodzi się drużyna i zasiada najlepiej na podłodze przed otwartym piecem, w którym płonie ogień — w braku innego ogniska, takie doskonale wywoła nastrój ciepła, jasności i tej spójni serdecznej jaką dają ogniska harcerskie. Zacznie gawędę drużynowy — może powie parę słów poprostu od serca, może opowie bajkę — w mroku izby oświetlonej tylko odblaskiem płonącego ognia w ciszy zimowej nocy bliscy się sobie wydadzą wszyscy, związani węzłami nieprzemijającemi. Potem każdy zastęp swą cząstkę wplecie — może coś opowie, zaśpiewa, zadeklamuje któryś z jego członków, lecz będzie to coś przygotowanego trudem i myślą całego zastępu. Może się potem potoczy swobodna przyjacielska gawęda — popłyną pieśni jedna za drugą — ani się spostrzeżecie jak wieczór zimowy w noc się przedzierżgnie i pora nadejdzie się rozejść. Lecz wróci każdy do domu z ciepłem i blaskiem w sercu zaczerpniętem z bratniego kręgu i ognia, co wszystkich grzał i oświecał — już nie będą się dłużyły zimowe wieczory. Skróci je oczekiwanie nowej wieczorynki. Więc zróbcie ją niedługo i napiszcie potem do „Na Tropie" czy była ładna.

Sosnowa Igiełka.

Wyjazd na Dżembori!

(Wizja przyszłości)

Gwarnie i huczno było na Zlocie w Poznaniu. Niestety Zlot się skończył i wielu do domu powróciło, została tylko garstka w liczbie prawie pół tysiąca, chłop w chłopa „morowy", każdy ma już „coś" pod nosem, każdy wiele umie, mówi, reprezentuje szereg towarzystw, — jednem słowem, sami wybrańcy! Pociąg ledwo bractwo przewiózł do Gdyni. Tu ziemia już palić się pod nogami zaczęła, każdy się śpieszył, krzyczał, denerwował tak, iż się zdawało, że nie pół tysiąca ale 100.000 harcerzy Polskę opuszcza. W terminie zjawiły się dwa stateczki pod polską flagą, zwaliła się na nie wiara cała — i „Szczęść Boże!" — pojechali. Statki po zielonych wodach Bałtyku mknęły raźno naprzód. Niewielu jednak było takich, którzy cuda morza oglądać mogli — większa część adeptów morskich podróży zajęta była tylko własną osobą. Po pewnym czasie choroba minęła i już wszyscy podziwiali wspaniały zachód słońca. O zmroku minęli pierwszą wyspę duńską Bornholm. Nazajutrz kapitan i załoga okazywali pewne zdenerwowanie, mieli bowiem przebyć niespokojną cieśninę Sund, przez którą fale Morza Północnego do Bałtyku się przeciskają. Ale zato harcerze zachwyceni byli przepięknemi widokami. Od północy płaskie brzegi Szwecji — zdala majaczył port Malmo. O pół godziny dalej Kopenhaga, stolica Danji, olbrzymie miasto portowe. Potem Helsingör (Danja) i Helsingborg (Szwecja) naprzeciw siebie leżące porty w najwęższym punkcie cieśniny (około 9 km). Hen w odali rysowały się ośnieżone góry Norwegji, opadające ku morzu kilkusetmetrowemi ścianami. Statek wytrwale mknął naprzód, zniknęły czarowne krajobrazy. Po dwóch dniach podróży przez pełne morze, spostrzeżono skaliste wybrzeża Anglji.



Ze zbiorów Inst. Geograf. w Krakowie.

Kipiel morska koło Brighton.

Słoneczna pogoda Polski, daleko — hen pozostała. Tu niebo prawie zawsze zachmurzone, częste, drobne deszcze, welon mgły i wichry przez rok cały panują. Dla umożliwienia lądowania, brzegi usiane są latarniami morskiemi o olbrzymiej sile światła, w portach zaś ryczą „krowy morskie", to zn. stateczki co pół minuty gwiżdżące syrenami. Statki ostrożnie wjechały do portu Hull. Przeróżne światła, dzwonki, piszczałki, huk, wrzask, zgiełk i szalony ruch tu panujący, odurzyły całkowicie harcerzy. Z przerażonemi oczami pozwolili się prowadzić wysłannikom skautom, do pociągu, który szczęśliwie gromadę zawiózł do



Wyspa Wight, Zatoka Freshwater.

Liverpoolu. Stąd autami parowemi po znakomitej asfaltowanej szosie do parku „Arrow".

I tu gwar, ścisk, hałas, istna „Wieża Babel". Biali, czerwoni, czarni, żółci razem skłębieni, zmieszani, porozumiewają się wszystkiemi możliwemi językami i przedewszystkiem giestem, „na migi". Polską delegację umieszczono w pośledniejszym miejscu, między skautami z Hong Kongu i Zanzibaru. Śmieją się żółci, szczerzą białe zęby czarni, lecz niestety nie możemy się porozumieć, wymieniamy tylko fotografje, odznaki i podpisy, wychwalając swoją Ojczyznę. Napróżno druh z czarną brodą stara się ich wzruszyć esperantem! Przez następne dni zwiedzamy obóz. Niczem na filmie przesuwają się obrazy przeróżnych narodów, poznajemy ich prace i obyczaje, zbieramy fotografje, kartki, widokówki. Poznajemy tak świat prawie cały i to w przeciągu tylko dwu tygodni. Sami też nie pozostajemy w tyle, napręża „wiara" mięśnie i nerwy, żeby udowodnić, że my przecież nie ostatni. Popisy nasze wypadły świetnie, nieoficjalnie okrzyknięto nas mistrzami! Marzymy o dalszych sukcesach, zwycięstwach, o podróży po Anglji, pragniemy zobaczyć największe miasta, fabryki świata! Próbujemy nakłonić nasze kierownictwo do wstąpienia „po drodze" do Norwegji czy Danji! ...Udaje się nam to! Pod koniec sierpnia zawijamy wreszcie do Gdyni. Powrót nasz — to jeden wielki „tryumf".

Co wiemy nowego o Dżembori!

— Miejsce, przeznaczone na obóz w parku Arrow jest bardzo małe — niemniej Anglicy zamierzają tam pomieścić 30.000 gości zagranicznych, a dopiero, gdyby przybyło więcej, rozbić dla nich obóz poza parkiem.

— Przewidziano „obozy dla gości", którzy będą mogli wynajmować namioty. Obozy te mieścić się będą poza parkiem.

— Z Polski zgłoszono udział 500 harcerzy. Zdaje się, że jednak pojedzie więcej. Ze Szwecji zgłoszono 300, w tem drużyna Eskimosów. Danja wysyła 2000, Ameryka i Holandja po 1000.

— W parku Arrow znajduje się piękny zamek, wybudowany w r. 1835. Do niedawna był on własnością siostrzeńca Bernarda Shawa, znakomitego pisarza, obecnie zakupiło go miasto Birkenhead i zamierza park zamienić na cmentarz.

Izba harcerska.

Jest rzeczą niewątpliwą, że jednym z bardzo ważnych czynników pracy i życia w drużynie jest **izba harcerska.** Sam widziałem drużyny wprost marniejące w oczach po pozbawieniu ich izby.

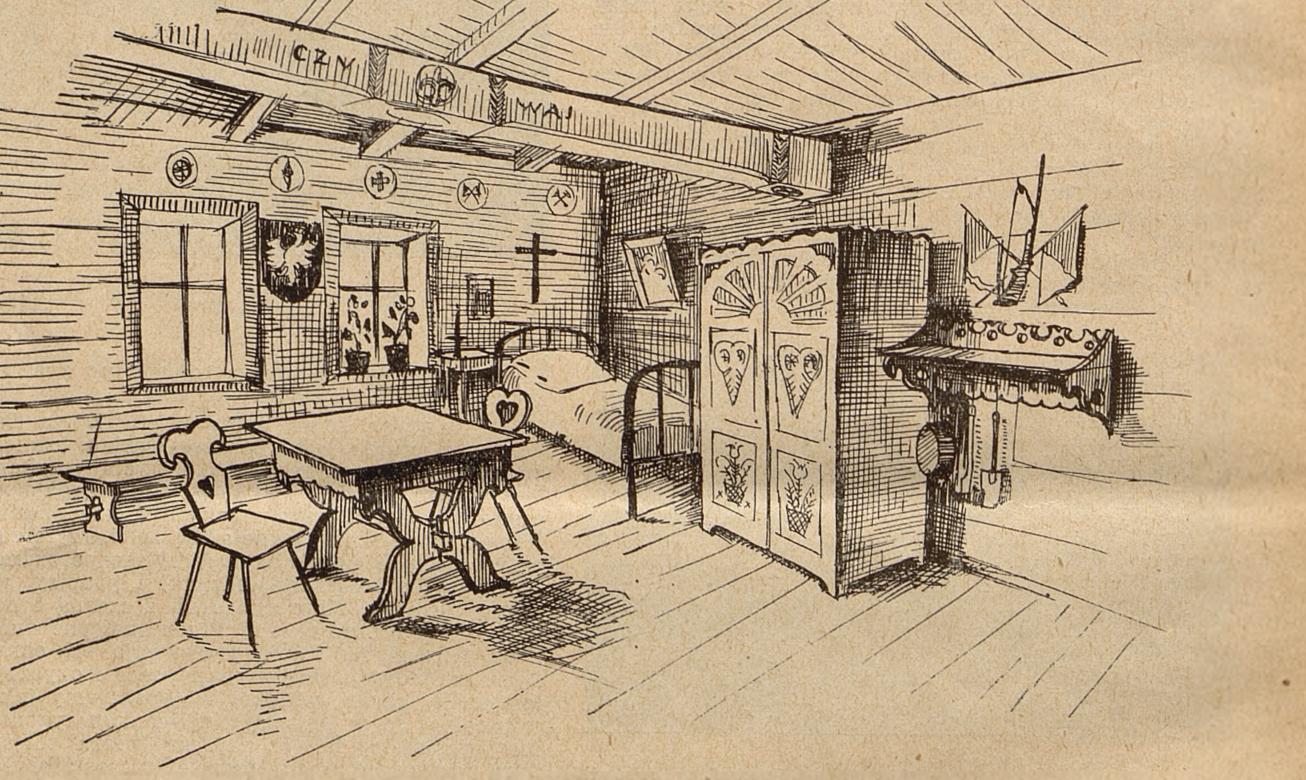
Czemże więc ma być izba dla drużyny? Izba harcerska — to ognisko domowe drużyny, to harcerskie „home", to środowisko, w którem koncentruje się całe „domowe życie drużyny". W izbie nie tylko odbywają się jesienne i zimowe zbiórki, raporty, wieczornice i rady, ale tam gromadzą się harcerze, by spędzić przyjemnie i pożytecznie chwilę wolnego czasu. Każdy chłopak powinien wiedzieć, że to jego, jego własna izba, każdy powinien czuć ciepło, rozchodzące się od zimowej watry, płonącej na kominku, czy choćby w zwyczajnym piecu; każdy powinien kochać swą izbę i tak się do niej przywiązać, by być jej codziennym „mieszkańcem" (nie „gościem"!).

Aby to zadanie mogła spełniać — izba harcerska — mojem zdaniem — powinna jak najwięcej przypominać dom rodzinny — zwyczajne mieszkanie... Będzie to miało jeszcze i tę dobrą stronę, że nie tylko przywiąże chłopca do drużyny, ale nauczy go cenić także i własny, rodzinny dom: chłopak taki — nie będzie się czuł obco w domu, nie będzie z niego uciekał, na co tak często skarżą się matki harcerzy i harcerek — owszem, mając swą izbę urządzoną „rodzinnie" — nauczy się cenić swój własny dom, odczuje urok, jaki bije od lampy, koło której gromadzi się wieczorem cała rodzina, pokocha swoje domowe sprzęty i — co więcej — zacznie mimowoli przeszczepiać harcerski obyczaj, „harcerskie porządki" na teren swego życia rodzinnego. I wtedy matka zamiast narzekać, że syn ucieka z domu, że się czuje obco w rodzinie, że ciągle siedzi w „skaucie" — powie z uśmiechem:

— Mój syn coś dziwnego przynosi z sobą z izby harcerskiej. Nie wiem, co to jest — ale nam wszystkim jaśniej i weselej, gdy on stamtąd wróci...

Jest jeszcze jeden ważny moment, który powinnoby harcerstwo uwzględnić w izbie drużyny. Ciągle się widzi i słyszy, że nasza narodowa kultura ginie: ginie obyczaj, strój, gwara ludowa... Jak tak dalej pójdzie, to za lat kilkadziesiąt, może kilkaset — Polak niczem nie będzie się różnił zewnętrznie od Francuza, Włocha... A któż jest bardziej powołany do pielęgnowania i zachowywania kultury narodowej od harcerza? Otóż i w tym wypadku harcerstwo może wiele zrobić: niech tylko urządzając izbę, urządzi ją **po polsku** — w stylu polskim, czy dawnych dworków, czy też, lepiej, w **stylu ludowym** tej okolicy, w której istnieje drużyna, lub innej, wybitnie polskiej. Może najlepiej nadawałby się do tego styl zakopiański, podhalański, ponieważ nie tylko odznacza się wybitnemi wartościami estetycznemi i jest wytworem najinteligentniejszej grupy ludu polskiego, ale też zawiera w sobie najwięcej istotnych pierwiastków dawnego, rodzimego, polskiego budownictwa, czy też zdobnictwa. Dlatego też pozwolę sobie opisać urządzenie góralskie izby harcerskiej — oczywiście z uwzględnieniem wszelkich potrzeb harcerskich.

Przez zaokrąglone u góry i zakopiańskim „słońcem" ozdobione drzwi wchodzimy do „izby białej", czyli świetlicy — dużej, widnej, z bielutką, zawsze czysto wymytą podłogą z desek sosnowych. Ściany z gładkich belek z szparami obetkanemi mchem, allbo też wyprawione i wybielone czysto, powała z belkami i poprzecznym „sosrębem", ozdobionym „lelują" harcerską, krzyżem, lub też gwiazdą góralską.



Cały kąt na lewo od drzwi zajmuje kuchnia. Nad blachą i obok — police rzeźbione na talerze, miski i garnki, rzeźbiony łyżnik i warząchwie, zakopiański czerpak na wodę, na gwoździach kotły, pokrywy i t. p. Wszystko po niedawnym obozie wyczyszczone, aż błyszczy i czeka wakacyj, lub też najbliższej jesiennej wyprawy.

Ściany: przyległą do kuchni, oraz naprzeciw drzwi, pod oknami — obiega długa ława, przed którą nawprost okien, stoi długi, prosty, na krzyżowych nogach oparty stół, przy stole kilka stylowych zydli. To jest centrum całej izby — tu siedzi się na zbiórkach, je się i śpiewa na wieczornicach, na tym stole grają harcerze w szachy, warcaby i inne gry, tu uczą się i spędzają na miłej gawędzie wolne chwile.

W rogu przeciwległym kuchni, t. j. na drugim końcu przekątni — rzecz niesłychana i nieznana w izbie harcerskiej: łóżko gościnne! Zasłane nie pierzynami, lecz skromnym, harcerskim kocem. Obok łóżka stolik i skrzynia z najcenniejszemi skarbami technicznego inwentarza. Jeszcze dalej — szafka z bibljoteką i księgami drużyny. Wreszcie w kącie po prawej stronie drzwi — warsztat drużyny, o ile niema na niego osobnego pomieszczenia.

Ściany ozdobione po harcersku, z uwzględnieniem, o ile możności, stylu ludowego: więc obrazy święte nad łóżkiem, wizerunek patrona drużyny w stylowych ramach, stylowe wycinanki i ornamenty wzdłuż ścian w górze — w oknach bibułkowe witraże z motywów ludowych. Na ścianach porozwieszane chorągiewki sygnalizacyjne, łopatki, siekierki, liny (o ile nie w skrzyni) — ozdoby i obrazki własnej roboty harcerzy, na półeczkach modele harcerskie, kółka sprawnościowe, krajobrazy, karykatury, mapy... Tu otwiera się pole dla pomysłowości harcerskiej, tu doskonała sposobność uzyskania sprawności „zdobnika".

Może ktoś powiedzieć, że to zbyt fantastyczny opis, by mógł być rzeczywiście zrealizowany, bo większość izb harcerskich przez samą budowę, położenie rozmieszczenie nie nadaje się do takiego urządzenia. Istotnie— jest to opis fikcyjny — wiele izb musi wyglądać zupełnie inaczej; — ale przecież przy dobrej woli można nadać izbie charakter „swojski", charakter miłego, zacisznego kątka, a przytem ludowej, rdzennie polskiej izby. Z opisu mego można wziąć jedno lub drugie, byle całość była miła, estetyczna i robiła wrażenie ułożenia planowego, by nie była zbiorem chaotycznie rozmieszczonych sprzętów i ozdób. Zresztą najgorszą rzeczą byłaby w izbie wszelka szablonowość — ozdabianie według stałych, podanych wzorów... Może nie być wogóle żadnego stylu, może być styl harcerski: styl dla X, czy Ypsylona, byleby było ładnie i dobrze. Izba, którą opisałem — to nie wzór, lecz skromny przykład. Zwracam uwagę na to jeszcze i dlatego, że obecnie powstaje w Polsce coraz więcej domów harcerskich; mając do dyspozycji kilka izb — możnaby pomyśleć o zastosowaniu rodzimego stylu i rodzimego zdobnictwa ludowego różnych okolic do umeblowania izb.

W takiej izbie każdy harcerz będzie często i chętnie przebywał, do takiej izby się przywiąże i będzie ją uważał za swoją, zwłaszcza, jeżeli urządzenie izby lub ozdoby są dziełem i jego ręki. A jeżeli ten chłopak nie ma rodziny, lub w rodzinie takie stosunki, że pobyt w domu jest dla niego pasmem utrapień, wtedy izba harcerska zastąpi mu izbę rodzinną, a blask harcerskiego ognia zastąpi mu choć w części ciepło domowego ogniska i przywiązując do izby, do drużyny — zwiąże go na całe życie z harcerskiemi ideałami.

Pazdur.

Z Dworku Cisowego.

Miłą porą roku jest jesień w Dworku Cisowym. Początek nowego roku jest jeszcze gwarny i pełen zamieszania. Dzieje się tu tak jak na wielkim okręcie (wyobrażam sobie), który udaje się w podróż przez ocean: gwar, bieganina, reklamacje, układanie rzeczy, zajmowanie kabin i leżaków pokładowych, w powietrzu krzyżują się rozmowy, pożegnania, wołania majtków i rozkazy oficerów! Nasz Dworek odpłynął już od brzegów i życie toczy się normalnie. Wiadomo już ostatecznie: kto zostaje na stałe, t. j. na cały rok pracy, gdzie kto mieszka i jakie ma obowiązki.

Już zebrałyśmy wszystko z pola i ogrodu, drzewka i trwałe rośliny okryte słomą, a Jaga wozi nawóz na pola. Potem będzie zwoziła kamień z Pulstonu na budowę Domu Lwowskiego, kopanie fundamentów skończymy w przyszłym tygodniu. Zaopatrzyłyśmy już Dworek na zimę: w opał (węgiel, koks i drzewo), owoce (po które jeździła Zosia, aż za Łącko), oraz w konserwy wszelkiego rodzaju — dumę i owoc pracy Kokosi. P. Berych, pokończywszy prace ogrodowe, zabiera się do porządków: dogląda młocki, rąbie drzewo, usuwa gruz i cegły pozostałe od budowy domu. Pali w naszych „kalafjorach" (kaloryferach) dworkowych, a w Domu Ludowym zainstalował tymczasowo piecyki żelazne.

W pracach gospodarskich najżywszy udział biorą „maludy", czyli czwórka naszych czterolatków. Chodzą z Kokosią do kurek i świnek, pomagają p. Berychowi kopać i wytyczać ścieżki, a tajemnem życzeniem każdego jest: wozić nawóz z „dużym Jasiem od koni".

Starsze „dziopki" (dziewczynki) jeżdżą czasem z Dziopką (osiołkiem) parę kilometrów po mleko. Jest to zawsze wielka kilkugodzinna wyprawa, bo Dziopka, rdzenna góralka, ma zawsze czas i śpieszyć się nie lubi.

Chłopcy mają dużo stolarki — trzeba bowiem chociaż prowizorycznie urządzić klasy w Domu Ludowym, zanim dostaniemy gimnazjum, więc kleci się tymczasowe półki i szafki, ławki i stoły.

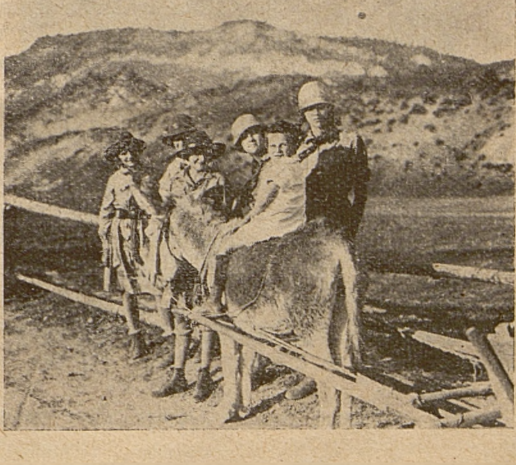
Korzystając z pięknych dni urządzamy wycieczki jedno i kilkudniowe całej naszej gromady (nie całej naraz oczywiście, tylko grupami na zmianę), połączone z kopaniem kuchen, gotowaniem, budowaniem szałasu i przygodnemi noclegami w sianie na strychu.

Stare Pudła przygotowują się do Wystawy w Poznaniu, zwłaszcza dział Przemysłu i Handlu ma zamiar wystąpić wszechstronnie. Pracownia trykotarska zamierza olśnić wszystkich swemi wyrobami. Dział Wychowania snuje wielkie plany. Ale największą niespodziankę szykuje Dworek Cisowy, jako całość — oto wystawi w szklanej gablotce, po egipsku spreparowany okaz, Stare Pudło!

Po ósmej wieczorem wielki ul dworkowy przestaje szumieć i brzęczeć: dzieci układają się spać, a Stare Pudła mają parę godzin dla siebie. Jest to czas 1) zbiórek: „staropudlanych" (na których omawia się sprawy ogólno-dworkowe), oraz „instruktorskich" (przygotowanie do prób organizacyjnych), 2) konferencyj pedagogicznych, i 3) wspólnych czytań. Zasadniczo czytamy teraz: „Ku czemu Polska szła" Górskiego, ale czasem jakoś tak się układa w wyniku jakiejś dyskusji, czy też nastroju, że czytamy nagle poezje Mickiewicza w interpretacji „Eleusis", albo psalmy Krasińskiego i czasem to się staje tem „Ku czemu Polska idzie". W poniedziałki, piątki i niedziele są godziny „ciszy". Zbieramy się wtedy w „izbie krakowskiej" (czyli urządzonej w stylu ludowym przez Chor. Krakowską) i każda robi, co chce: czyta, pisze, rysuje, szyje, haftuje, ale wszystkich obowiązuje cisza (względna), wolno tylko grać na pianinie. Po wytężonej, ruchliwej pracy dziennej dobry to wypoczynek dla nerwów i umysłu. I takie jesteśmy wtedy dalekie od gwaru interesów świata! Takie zgubione tu między górami. Mogą tam gdzieś wybuchać i gasnąć wojny, upadać parlamenty, tworzyć się nowe sejmy, — a my nic o tem nie wiemy. Maluczko a powrócimy do czasów przedhistorycznych: w drewnianej izbie barwią się na malowanej policy spiskie garnki i misy, na kominku trzaskają drobne smrekowe polanka, wokół na malowanych także ławach zasiadły Stare Pudła. Postacie hoże, włos długi i trefiony, srebrzy się len na kądzielach, furkocą „wartkule" pod groźnem okiem „gazdyni", a w powietrzu drżą jeszcze słowa kolendy:

„Malućki, malućki, kiebyby rąkawicka,
alboli-tez, alboli-tez kawałecek smycka... Du, du, du, du".

Marol.



Harcerki z naszą »Dziopką«.

ROLAND SPENCER.

Wyprawa do bieguna.

Przerobiła Z. Bastgenówna.

Świetny pomysł.

— Ooooh! Aaaah! — ziewał szeroko Jurek, rzucając na stolik szkicownik z ukończonemi dziwacznemi rysunkami jakichś dzikich potworów.

— Dość już mam tego doprawdy! Co za nudy, aah! A ty mruku ani się odezwiesz, choćby twój rodzony brat z nudów konał! — zwrócił się z wyrzutem do starszego odeń o lat trzy, piętnastoletniego Staszka, zatopionego w ciekawej książce.

— Uhum — mruknął z roztargnieniem Staszek.

— Cóżeś ty zapomniał mówić? — nadąsał się Jurek — uhum, uhum — mruczy jak niedźwiedź!

W pokoiku chłopców na piąterku starego dworku państwa Zaleskich zapanowała chwilowa cisza przerywana jedynie gniewliwym pomrukiem Jurka, który wtuliwszy się w róg sofki, wpatrywał się w wesoło trzaskający ogień na kominku. Przy świetle małej lampki naftowej Staszek pochłaniał ostatnie karty „Wyprawy do bieguna" Arctowskiego, zapominając o świecie bożym. Za oknem sypał bez przerwy śnieg. Od czasu do czasu wicher ze świstem pochylał nagie konary drzew, a gałąź rosnącej koło domu lipy głucho uderzała w szyby pokryte igiełkami i gwiazdeczkami przymarzniętego śniegu. Jakżeż przytulnie wyglądała siedziba obu braci w porównaniu w krajobrazem grudniowego zmierzchu.

Cóż z tego! Tak się cieszyli na wakacje świąteczne, a tu nagle przyjeżdżają do pustego domu i od starego Jana dowiadują się, że rodzice wyjechali na dłuższy czas do ciężko chorej cioci Irki.

— I cóż my teraz będziemy sami robili? — jednogłośnie wykrzyknęli chłopcy.

Stary służący nie umiał im na to dać zadawalniającej odpowiedzi, ale i oni nie mogli sobie miejsca znaleść w dużem, opustoszałem domostwie. Pod nieobecność rodziców nic ich nie bawiło. Jednem słowem Jurek miał powody do niezadowolenia.

Po chwili Staszek z westchnieniem zamknął książkę, przeciągnął się leniwie i jakby wracał dopiero do przytomności, rzekł:

— Co za cudowne życie! Gdyby choć dzień taki przeżyć!

— O czem ty mówisz? — przerwał niecierpliwie Jurek, budząc się z półsnu, do którego ukołysała go nuda i cisza wieczorna.

— O czem? — mówił Staszek, z roziskrzonym wzrokiem, wstając i chodząc nerwowo po pokoju. — O przedziwnej wyprawie do bieguna, w strasznych warunkach — wśród ciągłych niebezpieczeństw i trudów bohaterskich odkrywców — którzy nie siedzieli tak, jak my, w cieple i wygodzie... i... nudzie. — Ach, gdyby tak można!...

Tu przerwał i zamyślił się głęboko ku wielkiemu niezadowoleniu Jurka, który wiedział, że Staszek ma czasem świetne pomysły i chciał być o nich natychmiast powiadomiony.

— Co można? co można? — zawołał. No skończże!

— Gdyby tak można... powtórzył wolno Staszek i nagle począł żywo mówić:

— Wiesz co Jurek, mam świetną myśl. — Prawda że się nudzisz, co?

— Pewnie — z przekonaniem mruknął brat.

— Widzisz, — poco będziemy tu siedzieć, zamiast coś porządnego zrobić? Bądźmy odkrywcami bieguna!

— Czyś zwarjował? — bez szacunku dla Staszka — krzyknął jego młodszy brat. My i biegun? Co ci się marzy?

— Marzy mi się, marzy — roześmiał się Staszek — ale coś takiego co i tobie podobać się będzie. Urządźmy wyprawę do bieguna, no, ale tak „na niby". Weźmiemy sanki, zapasy, jak prawdziwi podróżnicy, pojedziemy koleją trzy stacje i stamtąd drogą zaczniemy maszerować do „bieguna" czyli Zalesia...

— Pysznie! — klasnął w ręce Jurek, któremu wkońcu rozjaśniło się w głowie. — Zapomnijmy o wszystkich wsiach, — i tak są zrzadka rozsiane, ominiemy je i iść będziemy wciąż prosto — potok nie potok — góra nie góra!

— Gór niema wielkich, ale dobrze, idziemy prosto bez względu na przeszkody. Bierzemy mapę i kompas. Moczary zaleskie muszą stanowić wyjątek, obejść je musimy ostrożnie, zwłaszcza teraz są niebezpieczne, kiedy niby to zamarzły, a mnóstwo pod śniegiem oparzelin i dołów.

— Kiedy wyruszymy w drogę? — niecierpliwił się młodszy zapaleniec.

— Jutro rano — odrzekł starszy. — Według przepowiedni meteorologicznych ma być mróz i słońce — w sam raz dla nas pogoda. Kochany tatuś! Zostawił nam mnóstwo pieniędzy — świetnie! Na trzy dni będziemy mieć zabawę i robotę co się zowie! Zacierał ręce z radości Staszek, coraz lepiej układając sobie w głowie plan kampanji.

Pobiegli obaj do starego Jana, swego powiernika, który właśnie nakrywał do kolacji. Stary wprawdzie ręce załamał nad ich „świetnym" pomysłem, wołając:

— A gdzież to panicze włóczyć się będą po tylim śniegu? A toż pomarzniecie na kość w taki mróz!

Chłopcy zakrzyczeli go z oburzeniem i wkońcu Jan, rad nierad, zgodził się na ich projekt zabawy, tembardziej, że państwo odjeżdżając pozwolili chłopcom na wszelkie możliwe rozrywki. Wiedzieli dobrze, że chłopcy przy swej łobuzowatej energji byli roztropnymi harcerzami.

I długo jeszcze w nocy chłopcy usnąć nie mogli, obmyślając szczegóły wyprawy, rozgorączkowani i niecierpliwi. Wkońcu na pytania Jurka nie było już odpowiedzi, a wkrótce i Jurek chrapał w najlepsze.

Wyprawa polarna.

Cały następny dzień minął szczęśliwie wedle wszelkich obietnic i przepowiedni. Przenocowawszy w ubogiej chałupce na pół przysypanej śniegiem, którą nietrudno było sobie wyobrazić jako mieszkanie Eskimosów wśród śnieżnej przestrzeni, Staszek i Jurek puścili się dalej w drogę, nie przeczuwając, jakie trudności ich czekają. Od samego rana szalała śnieżyca. Chłopcy na zmianę ciągnęli ciężko obładowane sanki. Staszek co chwilę zaglądał na kompas, od czasu do czasu wyciągał też i mapę okolicy, gdyż zbliżać się już zaczęli do osławionych, niebezpiecznych moczarów.

Nie przynawali się do zmęczenia, ale w istocie już w południe byli obydwaj wyczerpani i każdy z nich w duszy zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście wyprawa do „bieguna" była „świetnym" pomysłem.

Wyekwipowanie ich nie pozostawiało nic do życzenia. Wysokie buty chroniły ich od przemoczenia w czasie przejścia przez mniejsze i większe strugi, niezupełnie zamarzłe, wytryskujące mętną wodą z pod kry lodowej, zastępującej brakujący mostek.

— Uf! nie mogę już dalej, wystękał Jurek, po raz piąty ześlizgując się z sankami ze stromego brzegu niepozornej rzeczki. Z trudem wydrapał się wkońcu przy pomocy Staszka i znalazłszy się na szczycie, padł zadyszany na sanki.

— Jednak głupio się stało, żeśmy się nie zatrzymali w tej wsi, którąśmy minęli o jedenastej — rzekł Staszek.

— Przecież umówiliśmy się, że jej wcale niema. Jeżeli chcemy wyprawy polarnej, to musimy ją brać na serjo — zawołał z oburzeniem Jurek. — Sam przecież pierwszy dałeś projekt — dodał zapalczywie.

Prawda, ale dopiero teraz widzę pewne niebezpieczeństwa, o których w domu nawet nie pomyślałem, zwłaszcza o tej oślepiającej śnieżycy. Zresztą przyznaj, że sam chciałbyś odpocząć w ciepłym pokoju, co?

Jurek zawsze mówił prawdę, więc i teraz przyznał się odrazu do skrytych swych myśli o należytym wypoczynku.

— Swoją drogą — nie myślałem, że nam się ta wycieczka tak da we znaki — rzekł — przecież kilka kilometrów drogi na przełaj z temi przeklętemi sankami, to jak kilkadziesiąt kilometrów na szosie.

— Dajmy spokój narzekaniom — przerwał Staszek. — Wzięliśmy tylko to, co jest niezbędnie konieczne. A teraz w drogę, póki jasno — zawieja coraz większa — trzeba będzie rozbić namioty i ugotować obiad na trzecią.

Ruszyli więc dalej. Po półgodzinnem zapadaniu się w nieoczekiwane doły, wypełnione sypkim śniegiem, nadeszli nad brzeg drugiego potoku. Postanowili się tu zatrzymać, gdyż upadali już ze znużenia.

Zabrali się przedewszystkiem do zdejmowania rzeczy z sanek, usunięcia śniegu z miejsca, na którem postawili namiot. Wkrótce ręce zgrabiały im z zimna. Szybko schronili się do namiotu przed wzmagającym się mrozem. Nieprzemakalne płótno stawiło opór wciąż padającemu śniegowi. Chłopcy zapalili przenośny piecyk-kuchenkę, tak dla ugotowania „obiadu" jak i dla zagrzania się.

Potężna porcja kiełbasy z chlebem i gorąca herbata rozjaśniły ich pogląd na wycieczkę. Wnętrze namiotu szybko ogrzało się.

— Nikt nie może nam zarzucić — rzekł z zadowoleniem Jurek — żeśmy nie zabrali tego, co potrzebne. Jak na prawdziwej wyprawie — niczego nie brak!

— Dobrze się wszystko układa — dorzucił Staszek.

Obaj poczuli dopiero teraz nieprzepartą chęć snu po uciążliwym marszu. Choć więc była dopiero czwarta po południu ułożyli się z rozkoszą do snu — zostawiając ogień lekko tlący w piecyku.

Spali głęboko, a miarowy ich oddech mieszał się z sykiem płomienia i szelestem śnieżnych płatków. Od czasu do czasu wiatr potrząsał płótnem namiotu.

Nagle, po krótkiej, według niego, chwili zbudził się Staszek, sam nie wiedział dlaczego. Zdawało mu się, że usłyszał jakieś szmery, a może zbudził go gryzący dym wydobywający się z piecyka, w którym tlały wilgotne gałązki. Siadł na posłaniu. Jurek ani się ruszył.

— Tegoby brakowało, żeby się zaczadził — mruknął zaspany Staszek. Otworzył szybko zasuwkę i rozdmuchał ogień. Wstrząsnął nim dreszcz, nie z zimna, gdyż w namiocie było ciepło, ale z nagłego uświadomienia sobie bezgranicznej pustki i samotności, a przytem odpowiedzialności, jaka na nim, jako na starszym, ciążyła.

Wkońcu ułożył się znów wygodnie, zabierając się do snu. Nagle zmartwiał Tym razem wyraźnie usłyszał jakieś niepokojące szmery z poza namiotu. Czyżby wilki? Potrząsnął silnie Jurkiem.

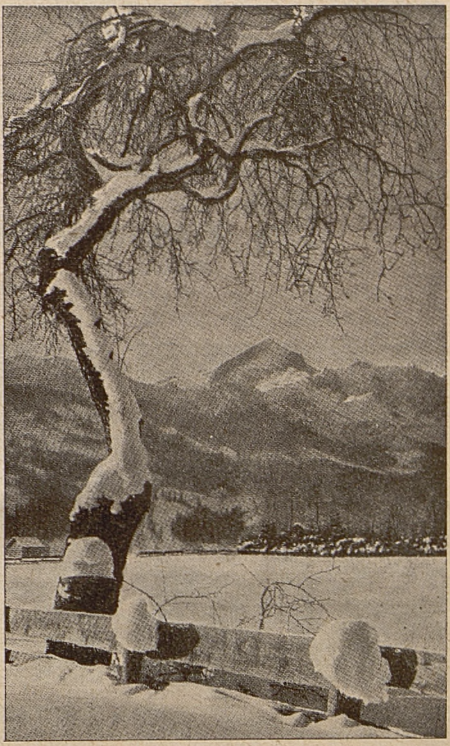
— Co? Co się stało? — krzyknął chłopak, przecierając zaspane oczy.

— Nie wiem! Może wilki...

Nagle doszedł do ich uszu słaby, choć bliski krzyk:

— Ratunku! Na pomoc!

Staszek i Jurek — po chwilowem osłupieniu, szybko rzucili się do odpinania płótna, zasłaniającego wejście. Pierwszy wybiegł Staszek. Rozejrzał się bystro wśród głębokiej ciemności i ciszy. Śnieg przestał padać. Wytężył słuch: Znów głos czyjś zawołał tu przy nich:



Formy śniegu.

— Ratunku!

— Kto tam? — rzucił w odpowiedzi Jurek.

— Jurek — zapal latarkę — prędko — rozkazująco zawołał Staszek.

Snop światła oświetlił duże pole śnieżne, puste i ciche. Na prawo obok nawianego przez noc kopca śnieżnego dostrzegli chłopcy coś czarnego, skulonego, jakby na czworakach poruszającego się. Oślepiona nagłym blaskiem blada, chłopięca twarz podniosła się ku nim z wyrazem rozpaczy i prośby.

— Na miłość boską! — wykrztusił Staszek — to jakiś dzieciak. Widocznie pełzał do namiotu. Prędko, Jurek, bierz go za nogi. Ostrożnie — połóżmy go na mojem posłaniu — komenderował Staszek. Złożyli bezwładnego chłopczynę na „łóżku" i zabrali się do ratowania go. Zdjęli mu mokre wierzchnie okrycie, buty i kamasze, natarli nogi i wsadzili pod dwa koce.

— Skądżeś ty się tu wziął? — zapytał ciekawie Jurek.

— Ja — wyszeptał chłopczyna liczący może dziesięć lat — ja mieszkam w Czyżewie. Mieszkamy tam dopiero

od września. Dziś rano mama posłała mnie do starej Walentowej, która mieszka na końcu wsi — prawie na moczarach. Niemą nikogo przy niej, więc prawie codzień ktoś od nas zanosi jej jedzenie. Mama nie mogła sama pójść, bo mój mały braciszek jakiś był chory, więc mnie posłała. Ale ja zapomniałem na śmierć o tem, że mam pójść i dopiero po podwieczorku wymknąłem się z domu. Znałem przecież drogę doskonale, ale nie myślałem, że się tak moje odwiedziny przeciągną. Staruszka wciąż prosiła, żebym nie odchodził. Wreszcie było już całkiem ciemno — śnieg ciągle sypał i... zabłądziłem.

— A nie mogłeś to wrócić swojemi śladami z powrotem do chaty? — zauważył Jurek.

— Śnieg je zasypał. Więc szedłem i wciąż mi się zdawało, że idę dobrze i że będzie zaraz dom. Tymczasem szedłem godziny całe, tak długo, tak długo... Myślałem, że albo już upadnę na śnieg i zasnę na śmierć — albo — wpadnę na moczary. Było ciemno, aż wreszcie zobaczyłem wasz namiot, kiedy podpełznąłem całkiem blisko, na wpół nieżywy. I teraz nie wiem, co mam zrobić?

— No, no, uspokój się, mały — z powagą lat 15 rzekł Staszek. Już my na to poradzimy. Jutro rano odprowadzimy cię do domu. Mamy mapę i kompas. Napij się teraz gorącej herbaty, zagryź chlebem z szynką, a tu masz kotlet. Zaraz będziesz się czuł lepiej.

— A wy kto jesteście? — nieśmiało zapytał mały Jaś, spozierając na dziarskich harcerzy z nad garnuszka herbaty, trzymanego w zsiniałych rękach.

— My — my prowadzimy wyprawę do bieguna! — zawołał Jurek, a widząc zdumienie na twarzy malca, dodał: „Tak na niby" tylko. Twoje szczęście, bo jakbyś nas nie był znalazł!?

— Oh! — wzdrygnął się Jaś. Pewniebym wpadł na moczary. Co tam mamusia sobie myśli biedna — żem ja już zginął na pewno... dokończył drżącym od wstrzymanych łez głosem.

— Hej, głowa do góry! — pocieszał go Staszek. Jutro będziesz u rodziców. To będzie radość dopiero! A teraz spać!

— Chłopcu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, a wkrótce i dwaj „odkrywcy" zaginionego Jasia, zasnęli również, myśląc o czekającej ich nazajutrz wyprawie.

(Dokończenie nastąpi)

Czy znasz życiorys gen. Baden-Powella?

Konkurs dla harcerzy.



Gen. Baden-Powell w karykaturze.
(Klisza jest własnością czeskiego czasopisma harcerskiego »Skaut Junak«).

Obok umieszczony rysunek przedstawia szereg karykatur z życia gen. Baden-Powella, który odznacza się wszechstronnemi zdolnościami i niejedną sprawą się zajmował, z namiętnością oddając się jej, kiedy się czegoś podjął.

Znajomość życiorysu Baden-Powella jest dla harcerzy ważną, bo na przykładzie Naczelnego Skauta Świata zrozumieć mogą łatwo wartość życia skautowego i jego właściwości.

Dlatego też, pragnąc Was pobudzić do zaznajomienia się z życiorysem Twórcy skautingu, ogłaszamy konkurs na wytłumaczenie umieszczonych obok rysunków.

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 20. stycznia 1929.

Do konkursu stawać mogą harcerze do lat 18, niepełniący funkcyj instruktorskich.

Stając do konkursu, pisz list do Redakcji na jednej tylko stronie, zostaw margines i w żadnej sprawie na tej samej kartce do Redakcji się nie zwracaj.

Pamiętaj o terminie!

Życiorys B. Powella znajdziesz w Małkowskiego »Jak Skauci Pracują« i w »Kalendarzu Harcerskim«.

Jako nagrodę przeznaczamy przedmiot wyekwipowania harcerskiego wartości 10 zł,

Rady przyjacielskie.

Bibljoteczki drużyn.

Pytanie: ...U nas istnieją bibljoteczki po drużynach, zaopatrujące chłopców w książki o treści harcerskiej i beletrystycznej. Czy jest wskazanem, by bibljoteczki te połączyć, i stworzyć bibljotekę hufca, czy pozostawić im zupełną niezależność (chodzi mi przedewszystkiem o podręczniki harcerskie). Czarny Miś.

Odpowiedź: Jeśli chodzi o bibljotekę beletrystyczną, to stanowczo należy stworzyć jedną wielką dla całego hufca. Natomiast, jeśli chodzi o podręczniki harcerskie, to należy je zostawić w drużynach, a nawet dążyć, by pewne podręczniki podstawowe posiadały poszczególne zastępy n. p. „Harce", „Vademecum", „Harcerz w polu". Oczywiście istnieją podręczniki, które należałoby też do bibljoteki Hufca włączyć, ponieważ są rzadkie i drogie, n. p. „Terenoznawstwo" Lewąkowskiego. M. M.

Co słychać w Harcerstwie?

— 8 i 9 b. m. odbyła się odprawa komendantów Chor. Omawiano sprawy, związane ze zlotem i wyjazdem do Anglji.

— Jak słychać, komendantem obozu zlotowego ma zostać kpt. J. Ratajczak, b. członek N. R. H.

— Teren zlotowy mieści się nad Wartą. Ujemną stroną jest brak drzew. Drużyny będą mogły na terenie zlotowym pozostać na dalsze obozowanie. Zlot narodowy poprzedzi zlot Chorągwi Poznańskiej.

— W ostatnim czasie stała się aktualną w społeczeństwie sprawa pojedynków. Odbył się bowiem szereg pojedynków śmiertelnych, poseł zaś Niedziałkowski, jeden z przywódców P. P. S., wyzwany przez posła Sławka, prezesa B. B. W. R., wyzwania nie przyjął, nie uznając pojedynku, jako honorowego sposobu załatwiania spraw politycznych. Przypomnieć należy, że Z. H. P. pojedynki potępiło i Dh. J. Grabowski opracował honorowy kodeks harcerski, przewidujący możność rozstrzygania spraw honorowych tylko w drodze polubownej. Drugą zasadą Harc. Kod. Hon. jest równouprawnienie kobiet w sprawach honorowych.

Warszawska Rada Starszego Harcerstwa na jednem z ostatnich zebrań powzięła następującą uchwałę: „Starsze Harcerstwo stołeczne, witając z uznaniem inicjatywę harcerzy studentów Politechniki w sprawie zwalczania pojedynków na terenie akademickim, wzywa harcerską młodzież akademicką z pozostałych Uczelni do podjęcia podobnej akcji na swoich terenach, oraz postanawia zorganizować zebranie porozumiewawczo-dyskusyjne młodzieży akademickiej w sprawie pojedynków z udziałem przedstawicieli różnych ugrupowań akademickich. W związku z tem grupa harcerzy zgłosiła na Walnem Zebraniu Bratniej Pomocy Politechniki wniosek uchwalony w następującym brzmieniu: „Walne Zebranie Br. Pom. St. Pol. Warsz. występuje przeciw pojedynkom, jako przestarzałej formie załatwiania zatargów honorowych i wzywa ogół członków T-wa do energicznego przeciwstawienia się im. Walne Zebranie uważa za konieczne opracowanie Kodeksu Honorowego wykluczającego pojedynek i wzywa Zarząd do wywarcia nacisku na miarodajne czynniki akademickie, celem opracowania takiego Kodeksu i jaknajszybszego wprowadzenia go w życie drogą zatwierdzenia przez Zjazd Ogólno-Akademicki".

— 15 i 16 b. m. odbyła się w Krakowie odprawa drużynowych Chor. M. Omawiano wytyczne programu pracy na lata najbliższe, zlot i dżembori. Na zlot wybiera się dwadzieścia kilka drużyn, na dżembo 102 harcerzy.

— W Krakowie zorganizowała się drużyna dżemborowa z dh. J. P. Grossem na czele. Drużyna liczy 24 uczestników wyprawy.

— Trzebinia męska wyjechała na „obóz zimowy" do Niemenczyna (woj. wileńskie).

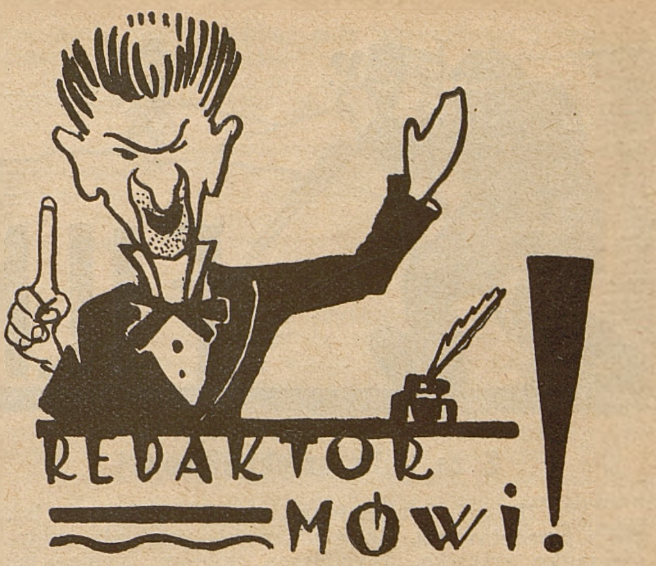
— Chor. Krak. męska zorganizowała I. obóz zimowy, połączony z kursem narciarskim w Kossarzyskach.

— 13. I. odbędą się zjazdy hufcowych żeńsk. i męsk. w Katowicach. Tego dnia odbędzie się urządzona staraniem Zarządu Oddziału doroczna gwiazdka instruktorska.

— Staraniem Akad. Drużyn Harc. „Watra" i K. P. H. VI. Ż. Dżny odbyła się 9 b. m. w auli Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie uroczysta akademja ku uczczeniu 500-letniej rocznicy śmierci Zawiszy Czarnego.

— Hufce łódzkie przepięknie uczciły 10-lecie Niepodległości Państwa. 10. XI. odbyła się uroczysta akademja. Przemawiała Dh. M. Wocalewska, inspektorka H. P. Następnie dh. Gerther, por. rezerwy, pracownik harcerski od r. 1911, odczytał apel do 98 harcerzy łódzkich, poległych w bojach o wolność. Szereg żywych obrazów dopełniły program akademji. Następnego dnia drużyny złożyły wieńce na grobie „Nieznanego Żołnierza".





Wszystkim naszym Czytelnikom składamy serdeczne życzenia Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Wszystkim, którzy nam nadesłali życzenia świąteczne, najserdeczniej dziękujemy.

Św. Mikołaj w Redakcji.

Widocznie „Na Tropie" cieszy się łaskami nieba, skoro Redakcję odwiedził św. Mikołaj, zostawiając następujący list do redaktora wraz z przepięknym kioskiem, pokrytym srebrnym dachem:

Jeden cel jeno w życiu mi przyświeca;
Stałość Twa skały poruszyć jest zdolna.
Cóż więc dziwnego, że i Mikołaja
Wzruszyła dzisiaj praca Twa mozolna.
Jako redaktor, wydawca, kolporter,
Wciąż dla „Na Tropie" pracujesz wytrwale.
Wiem, że czemkolwiek radbyś się przyczynić
Ku czasopisma nieśmiertelnej chwale.
Dziś Twe marzenia możesz w czyn wprowadzić
Bo oto kiosk Ci w darze ofiaruję
Radzę Ci kiosk ten na rynku ustawić
Niech w nim publiczność „Na Tropie" kupuje.

Św. Mikolajowi najserdeczniej dziękujemy. Kiosku wprawdzie na rynku nie ustawiliśmy, bo był zamały, ale zato postaraliśmy się, by „Na Tropie" rzeczywiście sprzedawano w wielu miastach w kioskach i księgarniach.

O propagandę „Na Tropie".

Kupowanie naszego pisma zależy od propagandy czytelników, którzy mogą:

1) wszystkim swoim znajomym pokazać „Na Tropie" i namówić ich, by pismo to zaprenumerowali,

2) mogą nam nadesłać adresy osób, którym poślemy numery okazowe,

3) mogą we wszystkich czytelniach i bibljotekach żądać zaprenumerowania „Na Tropie".

Pamiętajcie, że „Na Tropie" jest najtańszem pismem młodzieży w Polsce!

Odpowiedzi Redakcji.

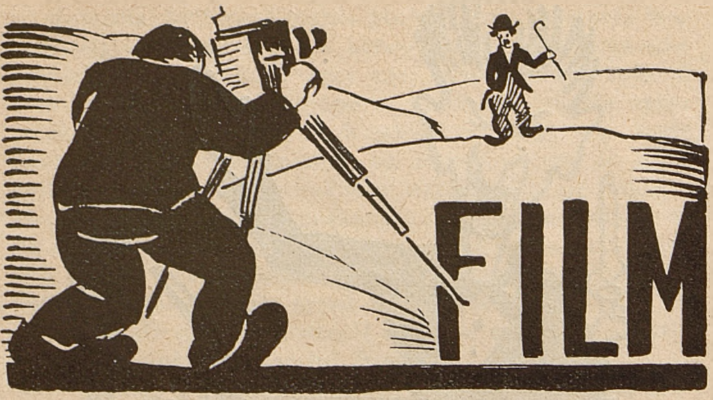
Ignaś z Bielszowic. Wszelkie korespondencje z życia drużyn prosimy nadsyłać nam piętnastego każdego miesiąca. Wtedy będą świeże i aktualne.

St. Grzycki, Stanisławów. Prosimy przysłać parę rysunków — zobaczymy je. Najbardziej pożądane wykonane czarnym tuszem.

Marol: Fotografje zwrócimy. Serdecznie dziękujemy za korespondencje, następną prosimy nadesłać przed 15. II.

9. Lwowska Drużyna. Widzicie więc, że mimo tych złych wieści żyjemy i nie mamy najmniejszego zamiaru robić klapy. Może znajdziecie mimo waszych obowiązków możność poparcia nas. — I. rocznik można w całości otrzymać.

„Rudy Lis", Lwów. Zdjęcia pójdą do nast. numeru Nadeślijcie tymczasem jakieś wieści o Sobie.



Z za kulis sztuki filmowej.

We filmach kinematograficznych, zwłaszcza takich, które przedstawiają jakieś niezwykłe przygody, widzi się nierzadko artystkę, dokonującą czynów, wymagających nietylko wielkiej odwagi, ale także niezwykłej siły oraz nie byle jakiej zręczności. Tak np. w jednym z nich bohaterka razem z koniem spada po stromej pochyłości skalistej góry, w innym znowu aktorka taka wbiega w czasie walki byków na arenę, gdzie właśnie napotyka na rozwścieczone walką zwierzę. Kiedyindziej znowu jej szaty zapalają się i widzi się ją pędzącą przez scenę, całą wśród ogarniających ją płomieni.

Otóż trzeba wiedzieć, że w takich scenach napewno nie występuje sama artystka osobiście, to nie ona popisuje się zręcznością, ani tonie w ogniu i wogóle nie naraża się na imprezy tak niebezpieczne, lecz posiada do dyspozycji cały szereg osób tak z pośród mężczyzn jak i kobiet, których zajęcie polega właśnie na zastępowaniu w odpowiednim momencie „gwiazdy" i uchronieniu jej w ten sposób od ryzyka. Zdarza się wprawdzie, że nie brak artystek, nawet między „gwiazdami", które podjęłyby się chętnie zaryzykować jakiś niebezpieczny epizod, lecz sami przedsiębiorcy nie chcą na to pozwolić z tego względu, że wypadek, któryby mógł się jej zdarzyć w toku zdejmowania takiego filmu, przyniósłby ze sobą niepowetowaną szkodę, jeżeli nie ruinę całkowitą danej imprezy z powodu poniesionych kosztów. W większości przeto wypadków człowiek, który zastępuje artystkę w krytycznym momencie, przebiera i charakteryzuje się tak dobrze, że w publiczności nie budzi się najmniejsze podejrzenie co do dokonanej zmiany osób.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie przemysł filmowy w rodzaju takich właśnie niezwykłych produkcyj szczególnie się rozwinął, stał się sławnym w tych rolach „dublujących" przedewszystkiem Ray-Thomson, naprawdę jakby predystynowany do takich występów. Przytoczymy kilka z nich.

W jednym z takich filmów, bohaterka bierze udział w roli dżokeja, pędząc w galopie na koniu. Nagle, zanim dosięga mety, koń pod nią potyka się i upada, przygniatając sobą artystkę, którą omdlałą wynoszą następnie z widowni. Tę część filmu miano zdjąć w wielkiej ujeżdżalni hippodromu w Los Angelos (Kalifornia). Artystka stosownie do tekstu roli, dosiada pysznego, czystej krwi rumaka, ale i tu przerywa się jej współudział, a w to miejsce przychodzi, stosownie przebrany Ray-Thomson. Tenże podejmuje dalszy ciąg gry, polegającej na pędzeniu w szalonem tempie na koniu, aby go w pewnej chwili spiąć ostrogami tak silnie, że ten potyka się i upada na ziemię, pociągając za sobą jeźdźca. Scenę przygotowano tak dobrze, że nie zaszedł przytem żaden wypadek. Nie koniec na tem, cały epizod oddano tak naturalnie, że obecni przy tem widzowie, nie wtajemniczeni w tekst scenarjusza, przybiegli po upadku z przerażeniem, pewni, że znajdą Raya-Thomsona conajmniej z połamanemi żebrami.

Tensam Thomson zastępował inną aktorkę filmową w scenie z ogniem, o czem wspominaliśmy poprzednio. Artystka miała prezentować baletnicę, której w czasie wykonywania jakiegoś wężowego tańca zapala się skutkiem nieuwagi suknia z gazy czy tiulu, wywołując panikę, a następnie szaloną ucieczkę i krzyk o pomoc. Bohaterka nie okazywała jednak wcale ochoty podania się takiej „ogniowej próbie". Uczynił to za nią Thomson. Wymierzono jednak czas trwania tej sceny tak dobrze, że artysta mógł rzucić się do przygotowanego przedtem zbiornika z wodą, zanim płomienie mogły mu wyrządzić większą szkodę.

Również Thomson był tym, który przebrany za poskromicielkę dzikich zwierząt stoczył walkę z dziesięciu lwami. To nie poszło jednak tak gładko. Chwilę ciężkiej trwogi przebył ten artysta od chwili, gdy go zamknięto w klatce z żelaznych prętów i spuszczono do jamy z dziesięciu lwami w ten sposób, że na filmie nie było widać krat, a Ray-Thomson wydawał się być w bezpośrednim kontakcie ze zwierzętami. W pewnej jednak chwili kratę, dość zresztą cienką, (aby nie była widoczną na filmie), rozdarł jeden z lwów. Sytuacja stała się niebezpieczną. Klatkę podniesiono natychmiast do góry, a Ray-Thomson wyszedł z opałów cało, choć z kilku ranami na rękach.

Na innym znowu filmie widzimy konia, spadającego w morze ze skały wysokiej na 15 metrów razem z jeźdźcem. I tej sztuki dokonał Ray-Thomson, organizując zdjęcie bardzo pomysłowo. Oto skałę stanowiła odpowiednia dekoracja, której część w odpowiednim momencie, w chwili przebiegania konia z jeźdźcem obróciła się w taki sposób, że koń wykonał jakby *salto mortale* w dół, a Ray-Thomson umiał wyliczyć moment, w którym podczas spadania konia w dół zdołał się od niego odłączyć i dokonać osobno skoku znanego pływakom, t. zw. *plongeon* w morze. Scena na filmie wypadła znakomicie, a nadto w tym wypadku koń i człowiek wyszli bez najmniejszego szwanku.

Często „gwiazdę" zastępuje w niebezpiecznych epizodach przed objektywem aparatu filmowego także kobieta. Takiemi „dublującemi" rodzaju żeńskiego są najczęściej artystki w jeździe konnej, pływaczki lub akrobatki.

Loretta Rush zastępowała inną artystkę, w pewnej scenie, w której heroina ma rzucić się z dachu pewnego domu do zbiornika gotującej się oliwy, a Gladys Johnston znowu przejęła w danej chwili rolę w scenie z rzuceniem się z czwartego piętra ratusza w San-Francisco. Artystka rzeczywiście dokonała tej sztuki akrobatycznej wysokiej miary sposobem „en plongeon", spadając cało i zdrowo do sieci ze sznurów, trzymanej na ulicy przez ludzi ze straży pożarnej.

Niestety nierzadko, jak widzimy, ci odważni, tak narażający swe życie, doznają ciężkich pokaleczeń czy potłuczeń, lub nawet przepłacają życiem. Niedawno temu zmarł skutkiem obrażeń wewnętrznych John Stevenson w Nowym Jorku w kilka godzin po próbie dosięgnięcia w skoku platformy z dachu jadącego omnibusu. Również Perkins zmarł z winy fałszywego manewru pilota, gdy z drabiny sznurowej, zwisającej z aeroplanu, usiłował wylądować na dachu wagonu jadącego pociągu. I wielu jeszcze innych przypłaciło życiem, ginąc jako ofiary niokiełznanej fantazji twórców scenarjuszów kinematograficznych.

Trudno jednak zrozumieć nam jedno. Oto gdy się weźmie pod uwagę hojność, z jaką w Stanach Zjednoczonych opłaca się pracę specjalistów, wydziwić się nie można szczupłości zapłaty, ofiarowywanej za tego rodzaju niebezpieczne i karkołomne imprezy. Artystka Gladys Johnston za skok z czwartego piętra i za „bisowanie" tegoż, o czem wspomnieliśmy powyżej, dostała razem 150 dolarów, a za scenę walki byków, gdy narażała się na nadzianie na rogi rozwścieczonego zwierzęcia, zadowoliła się na początku swych występów kwotą 10 dolarów.

KĄCIK HUMORU.

Może nie ma racji?

Pomocnik farmera był w mieście na przedstawieniu teatralnem. Wrócił jednak dość wcześnie. Farmer, zdziwiony tem, wypytuje się:

— No, jak tam, podobało Ci się przedstawienie?

Pomocnik: — I owszem, ale nie bardzo, bo nie widziałem końca.

Farmer: — Dlaczego, co się stało?

Pomocnik: — Ano, w programie napisano „akt trzeci po dwu latach". Przecie nie będę czekał dwa lata na koniec przedstawienia.



Podstawy radjotechniki dla początkujących.

Elektryczne obwody drgające.

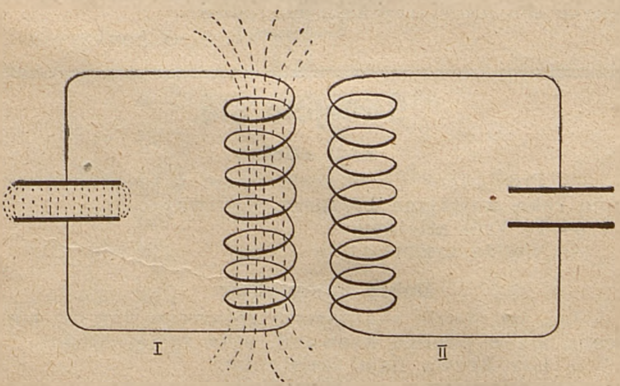
Dotąd zajmowaliśmy się zjawiskami drgań elektrycznych w pojedynczym obwodzie drgającym. Stwierdziliśmy, że w zależności od sposobu pobudzania do drgań takiego obwodu, mogą w nim powstawać drgania albo zanikające albo niezanikające.

Obecnie zbadamy jak zachowują się dwa obwody drgające, jeśli w jednym z nich będziemy wywoływać drganie elektryczne. Już przy rozpatrywaniu pojedynczego obwodu drgającego, zwróciliśmy uwagę na kolejne powstawanie i znikanie pól elektrycznych i magnetycznych, w czasie istnienia drgań, czyli prądów szybkozmiennych w takim obwodzie. W chwili, gdy okładki kondensatora są naładowane elektrycznością, powstaje między niemi pole elektryczne, które uzmysławiamy sobie t. zw. linjami sił elektrycznych, biegnącemi od okładki dodatnio naładowanej do okładki naładowanej ujemnie.

W czasie rozbrojenia się kondensatora ładunki dodatnie przepływają przez zwój drutu, powstaje prąd elektryczny, a zwój drutu nabiera własności magnetycznych.

Te działania magnetyczne, również uzmysławiamy sobie polem magnetycznem, które posiada linje sił magnetycznych, biegnących od bieguna północnego zwoju do południowego. Takie kolejne ładowanie się okładek kondensatora i rozbrajanie przez zwój drutu, powoduje kolejne zjawienie się pola elektrycznego a i magnetycznego, przyczem zniknięcie pola elektrycznego jest warunkiem powstania pola magnetycznego i naodwrót.

Oba pola elektryczne i magnetyczne są ze sobą ściśle związane, nie dadzą się od siebie oddzielić i dlatego obejmujemy je wspólną nazwą: pole elektromagnetyczne.



Działanie dwóch obwodów na odległość:
I. obwód drgający, wysyłający, II. obwód wtórny odbiorczy

Zaburzenia wywołane polem elektromagnetycznem, nazywamy falami eletromagnetycznemi. Ponieważ zawsze fale powstają w jakimś ośrodku materjalnym czy we wodzie, w powietrzu, ciałach stałych i t. d. przeto starano się zbadać w jakim ośrodku powstają fale elektromagnetyczne. Okazało się, że fale te rozchodzą się nietylko w ciałach materjalnych jak we wodzie, w powietrzu, ale także w próżni absolutnej.

Aby jednak lepiej wyobrazić sobie takie fale, wymyślono dla nich ośrodek, który nazwano eterem kosmicznym, który ma wypełniać cały wszechświat i przenikać wszelkie ciała materjalne.

Dotąd żaden uczony nie wykrył istnienia eteru, a przyjmuje się go tylko dlatego, aby ułatwić sobie rozumowanie.

Fale elektromagnetyczne rozchodzą się w przestrzeni z prędkością 300.000 km. na 1 sekundę. Jak wielką jest ta szybkość, można sobie uzmysłowić z prostego rachunku: Obwód ziemi na równiku wynosi 40.000 km., a zatem fala elektromagnetyczna obiegnie ziemię: $\frac{300.000}{40.000} = 7.5$ razy w ciągu 1 sekundy.

Dzięki tej kolosalnej szybkości, fale elektromagnetyczne znakomicie nadają się do porozumiewania się na dalekie odległości, gdyż stacja odbiorcza prawie równocześnie słyszy to co nadaje stacja nadawcza.

Wróćmy do naszych obwodów drgających. W jednym z nich (I) dowolnym sposobem wywołujemy drganie elektryczne, a tem samem fale elektromagnetyczne. Fale te rozchodzą się w przestrzeń i spotykając po drodze drugi obwód drgający (II), wywołują w nim przez t. zw. indukcję pewne napięcia elektryczne, które powodują powstanie drgań w tym obwodzie.

Częstość wzbudzonych w tym obwodzie prądów szybkozmiennych jest taka sama jak w obwodzie wysyłającym fale elektromagnetyczne, natomiast natężenie tych prądów zależne jest od oddalenia tych obwodów oraz od dobrania odpowiedniego kondensatora i zwoju. Na tem zjawisku, wywoływania prądów szybkozmiennych w obwodzie przy pomocy fal elektromagnetycznych, pochodzących z innego obwodu, opiera się istota radja.

Im dalej odsuniemy te obwody, tem słabsze będą prądy wzbudzane w obwodzie wtórnym, odbiorczym.

Przy pewnem, dość dużem odsunięciu obwodu wtórnego, prądy wzbudzane w nim będą tak słabe, że nawet przy pomocy bardzo czułych przyrządów wykryć ich nie będzie można.

Są jednak sposoby powiększenia zasięgu wzajemnego działania takich obwodów, dzięki którym możemy dziś odbierać znaki z bardzo dużych odległości.

Budowa anten.

(Ciąg dalszy)

Są jednak sposoby, pozwalające wydłużyć lub skrócić antenę a temsamem dostosować ją do żądanej długości fali.

Mianowicie kondensator włączony w antenę zmniejsza jej falę własną co najwyżej do połowy pierwotnej wartości, natomiast cewka indukcyjna włączona w antenę zwiększa jej falę własną, aż do czterokrotnej wartości.

W pierwszym wypadku mówimy o t. zw. współczynniku skrócenia anteny K = 0.5—0.7, w drugim wypadku o współczynniku wydłużenia anteny w = 1.5—4.

Stąd wynikają następujące praktyczne wskazówki:

1) Należy długość anteny dobierać do długości fali, którą chcemy słuchać. Np. chcemy obrać najlepszą antenę dla fali katowickiej 422 m. Prosty rachunek okaże nam, że długość skuteczna anteny będzie około 76 m., zatem użyjemy anteny o długości 50 m. z doprowadzeniem długości 16 m. Istotnie okazało się, że długość anteny wynosząca 50 m., jest najkorzystniejszą dla zakresu fal od 400 do 1000 m.

2) Jeżeli mamy już antenę o pewnej długości nie odpowiadającej danej fali, to należy dobrać odpowiedni kondensator lub cewę indukcyjną celem wydłużenia lub skrócenia własnej fali anteny.

Praktycznie możemy skrócić falę własną do K = 7 pierwotnej wartości przez włączenie kondensatora w antenę.

Jeżeli zatem ktoś ma antenę 120 m. długą wraz z doprowadzeniem, wówczas fala własna tej anteny wynosi 5.5×120 = 660 m. Przez włączenie kondensatora można ją skrócić tylko do wartości 660×0.7 = 462 m., a tymczasem fala katowicka ma 422 m.

Stąd widać, że najlepiej jest wybudować raczej krótką aniżeli za długą antenę.

Falę własnej anteny krótkiej można bowiem aż 4-ro krotnie powiększyć, włączając w antenę odpowiednią cewkę.

III. Wielki Konkurs pisma „Na Tropie“ z Nr. 7.

Jak już donieśliśmy w poprzednim numerze, nagrodę konkursową parę łyżew stalowych, niklowanych, zdobył Bolesław Wierzbiański z Krakowa, nadesłał bowiem najbardziej wyczerpujący spis błędów w rysunku lotniska.

Oto nazwiska tych, którym sąd konkursowy przyznał nagrody pocieszenia:

Bezpłatna kwartalna prenumerata: „Jastrząb“, L. Pudło z N. Sącza, J. Grodzicki z Wilna, W. Machnik z Wełnowca, J. Meizner z Krakowa, T. Maak z Brzeska, Oley Ewald z Nikiszowca, I. Gajdówna z Myslowic.

Bezpłatna miesięczna prenumerata: A. Krause z Skierniewic, L. Łozowski z Sejn, P. Bartoszek z Blachówki, L. Kneblewski z Pabjanic, M. Molewicz z Milówki, H. Włoczek z Rydułtowych, I. Wawerski z Leśnej Podlaskiej, St. Duński z Siedlec, Z. Wójcik z Krakowa, H. Kozłowski z Borysławia, St. Łoza z Warszawy, W. Sopotnicki z Endrymowic, E. Hryniewicz z Baranowicz, F. Szwed z Zagórza, R. Skubek z Zagórza, J. Gniewiewski z Mławy, F. Maas z Katowic.

Omówmy teraz plon konkursu!

Właściwie dziś, kiedy zainteresowanie samolotami i motorami jest tak powszechne, odkrycie szeregu błędów, nie przedstawiało zbytniej trudności. Błędy bowiem, rzucały się same w oczy. Chcemy tylko zwrócić uwagę na jeden: oznaczenie czasu nad zegarem. Na rysunku widać „1.50 godz.“. Ponieważ jednak jest dzień — powinno być „13.50“. Jest to błąd, który zaledwie parę osób zauważyło. Inne błędy w mniejszej lub wiekszej ilości zauważono.

Oto ich spis:

1) Lotnisko błędnie przedstawione (chodnik, rozmiary); 2) hydroplan na lotnisku, zakotwiczony do ziemi; 3) pilot w hydroplanie bez śmigi, gotowy do lotu; 4) otwory boczne przy motorze hydroplanu; 5) oficer nieprzepisowo ubrany (pas, „french koalicyjny“, krawat, naramienniki, czapka); 6) policjant na służbie rozpięty i bez broni; 7) nad hangarem napis bufet; 8) w hangarze stoi samolot na podniesieniu; 9) drzwi hangaru otwierają się do środka; 10) godzina źle oznaczona (13.50); 11) na restauracji napis „hangar Nr. 1“; 12) auto na lotnisku w czasie jazdy, 13) zmiana koła w czasie jazdy, bez podniesienia motoru; 14) brak szofera; 15) brak lampy, błotnika, tabliczki z numerem; 16) z auta unosi się para wodna; 17) auto ma z jednej strony cztery okna, z drugiej trzy; 18) lampa świeci się w dzień; 19) samolot pasażerski z armatką, nie ma miejsca do startu; 20) pasażerowie wchodzą po schodach stale umocowanych pod parasolami; 21) znaki bojowe polskie, umieszczone u góry, litery francuskich samolotów i angielskich; 22) skrzydła umieszczone zanadto w przodzie; 23) fałszywa konstrukcja steru; 24) chorągiew polska fałszywa; 25) strzałka, wskazująca kierunek wiatru, w inną stronę zwrócona, aniżeli chorągiew, w inną zaś jeszcze chorągiewka na drugiej wieży; 26) 31 czerwiec; 27) samolot lewy bez śmigi i pilota ze złym sterem; 28) samolot prawy ma źle umieszczone skrzydła i złe znaki.

Rozwiązania konkursu, jakeśmy otrzymali, były najrozmaitsze. Dla niektórych widok lotniska stał się źródłem aż poetyckiego natchnienia jak n. p. dla anonimowego Jastrzębia, który radzi nam naszego rysownika oddać jeszcze do szkoły „bo rysowanie to jest wielka sztuka i niech się do niej nie biorą nieuki“.

Kochany Jastrzębiu! Pozwól, że do Twej rady się nie zastosujemy, natomiast odkryj nam Swe nazwisko, byśmy w nagrodę za Twój miły wierszyk mogli Ci przesłać nagrodę pocieszenia, na którą rzetelnie zasłużyłeś.

W bardzo dowcipną formę opowiadania o przyjeździe na „cudowne lotnisko“ ubrała swe rozwiązanie p. Irena Gajdówna z Myslowic.

Brak miejsca nie pozwala nam niestety przytoczyć nawet jego wyjątków.

Ogółem nadesłano 285 rozwiązań. — Sąd konkursowy miał więc wiele pracy i nic dziwnego, że nie był w stanie ogłosić pełnych rezultatów konkursu w poprzednim numerze.

Cieszyliśmy się bardzo tak dużem zainteresowaniem i choć wszystkich uczestników nie możemy nagrodzić, jesteśmy pewni, że niezrażeni tem stawać będą do dalszych konkursów — a może w nagrodę ich pracy los do nich też się uśmiechnie!

Do widzenia więc przy przy następnym wielkim konkursie „sportowym“, który będzie ogłoszony w 1. nrze 1929 roku.

Narazie zapraszamy do „konkursu tropikalnego“.

Konkurs Tropikalny.

Kolosalny epokowy problem staje przed Wami! Zrywam się ze snu po nocach, jeść nie mogę, świat nie istnieje dla mnie! Muszę znaleść odpowiedź na dręczącą mnie zagadkę: „Coby się stało, gdybyśmy, obudziwszy się pewnego pięknego poranku, ze zdumieniem spostrzegli, że nasz kapryśny klimat zmienił się na podzwrotnikowy!?“

Miljony myśli roji się w mym obolałym mózgu — jedna okropniejsza od drugiej!

A kto wie, czy się tak nie stanie? Wszak klimat nasz od kilku lat płata nam niemożliwe figle. I myśl ta — ta tropikalna myśl dręczy mnie, jak zmora! Pomóżcie mi! Zastanówcie się chwilę i wyobraźcie sobie, coby to się stało, gdyby — !

A gdy tropikalne pomysły wystąpią w całej okazałości — spiszcie je i przyślijcie do redakcji, ale zaklinam was, nie piszcie więcej niż trzy strony zeszytowe, ale zato jak najdowcipniej. Będę Wam nieskończenie za nie wdzięczny, a redakcja najbardziej zwrotnikową wyobraźnię wynagrodzi pięknym upominkiem, wartości 20 zł. i dzieło jej zostanie wydrukowane w naszem piśmie na wiecznej rzeczy pamiątkę. Oprócz tego czterej inni dostaną nagrody wartości 5 zł.

Odrazu też napiszcie, co pragnęlibyście otrzymać jako nagrodę. 20. I. 1929. Redakcja przystąpi do oceny nadesłanych dla mnie tropikalnych listów.

Redaktor od konkursów.

Śmiejcie się.

Król atletów.

— Powiadam Ci, Wacek, znam takiego siłacza, co jedną ręką wstrzyma biegnący tramwaj.

— To król atletów!

— Nie, to motorowy!

Dobry kombinator.

Jaś, na obozie skautowym zainteresowawszy się pasącemi się w pobliżu krowami, pyta zastępowego:

— Czy krowa daje śmietankę?

Ten zdumiony: — Oczywiście!

Jaś: — Aha, to jak jej zimno, to daje lody śmietankowe!

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba.
Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.

ZAGADKI.



Rozwiązanie zagadek z Nr. 8-go.

1. Zagadka lin — Nil.

2. Arytmograf.

„Zawisza Czarny".

Z
C A R
K O W A L
P E L I K A N
K R Z Y S Z T O F
B R U S Z N I C A
Z A W I S Z A C Z A R N Y
C O R O C Z N I E
W I N S Z O W A Ć
[illegible] E L A N J A
W A R N A
O N A
Y

3. Zadanie matematyczne.

$[\sqrt{49} . 12^2]$: $36 + 50 - 78 = 0$

$[\sqrt{36} . 12^2]$: $48 + 97 - 50 = 65$

$[14^2 . \sqrt[3]{27} - 38]$: $50 + 69 = 80$

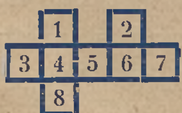
$[15^2 . \sqrt[3]{64}]$: $20 + 93 - 78 = 60$

$[46^2 : 92]$. $\sqrt{81} - 57 + 30 = 180$

$[28^2 : 49]$. $\sqrt{36} - 71 + 50 = 75$

4. Figlik.

Po odjęciu 5 zapałek zostaje nam tylko 8 kwadratów.



Nowe zagadki.

1. Szarada.

Pierwsza każe nam milczenie,
Pierwsza z drugą zabarwienie,
Druga trzecią dobrą bywa,
Gdy stosowna i życzliwa.
Nad całością umysł snadnie
Utrudzi się i zgadnie.

2. Zagadka.

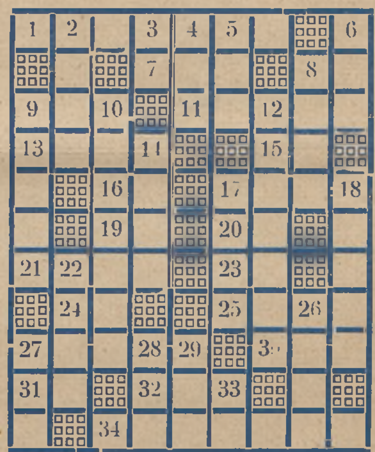
(Ułożył Bol. Długosz, Kraków).

Główne znaczenie 1—2: przyrząd optyczny. Spółgłoska — zwierzę (płaz) — roślina — inaczej przedstawiciel — rodzaj hotelu — przyrząd optyczny — rodzaj widowiska — człowiek nieokrzesany — narodowość — droga — spółgłoska.

1
a
a a a
a a a a a
d d e e e e g
i j j k k k k k k
1 l l l m m n n n n o o 2
o o o o o p p p p
p p r r r s s
s s t t t
t t t
z
2

3. Krzyżówka.

(Podał Zbigniew Preiss).



Poziomo: 1) Miejscowość znana ze zwycięstwa Greków nad Persami. — 7) Przetwór owocowy. — 8) Inaczej posiada. — 9) Rodzaj utworu poetyckiego. — 11) Imię męskie. — 13) Inaczej zjawa. — 15) Miara powierzchni. — 16) Znak chemiczny manganu. — 17) Inaczej rum. — 19) Spółgłoska fonetycznie. — 20) Znak chemiczny manganu wspak. — 21) Rzeka we Włoszech. — 23) Przyimek. — 24) Wykrzyknik. — 25) Narodowość. — 27) Imię żeńskie. — 30) Gatunek papugi, — 31) Egipski bóg słońca. — 32) Mieszkanie pszczół. — 34) Część świata.

Pionowo: 2) Opera Verdiego. — 3) Karta. — 4) Szyny kolejowe. — 5) Narząd zmysłowy. — 6) Rzeka w Małopolsce. — 8) Inaczej zjawa. — 9) Marka zegarków. — 10) Kraina w Azji Mniejszej. — 12) Morze między Europą i Azją. — 14) Po łacinie w roku. — 17) Imię żeńskie. — 18) Marka cykorji. — 22) Grunt orny. — 23) Przyimek. — 24) Imię żeńskie. — 26) Inaczej rum. — 27) Kawały lodu. — 28) trunek. — 29) Łącznik. — 33) Spółgłoska fonetycznie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 15 stycznia 1929 roku.



Fot. M. Karłowicz

Zbocza Tatr w śniegu.

Jednajcie nowych prenumeratorów „Na Tropie"!

Zwracając się do Redakcji, pisz wyraźnie, tylko na jednej stronie i zostaw margines.

„Na Tropie" wychodzi 25 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Mickiewicza 10. — Konto w P. K. O. 305.330

Oddziały Redakcji: Kraków, Szewska 12, I p. „Len". — Warszawa, Chmielna 26, Tel. 402—33.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1·— zł., kwartalna 1·50 zł., półroczna 3·— zł., roczna 6·— zł.